

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM I

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 6

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

ANTONI SŁONIMSKI

JULJAN TUWIM

JÓZEF WITTLIN

ADAM CIOLKOSZ

JERZY GRAHIT

MARJA PAWLIKOWSKA

JÓZEF ŁOBODOWSKI

EUGENJUSZ CĘKALSKI

MAREK ŻULAWSKI

BOHDAN NAGÓRSKI

STEFANJA ZAHORSKA

MARJA KUNCEWICZOWA

KAROL ESTREICHER

ADAM ORDEGA

LONDYN

WRZESIEŃ

1942

PRZYPOMINAMY

O TERMINIE PRZEDPŁATY PRENUMERATY

„NOWEJ POLSKI”

NA NASTĘPNE PÓLROCZE

PUBLISHED BY
NOWA POLSKA
91, GREAT TITCHFIELD STREET,
LONDON, W.1
Phone: MUSEUM 2077-8-9

PRZEDSTAWICIELSTWO
NA U.S.A.
"POLAND FIGHTS"
POLISH LABOUR GROUP
55 WEST 42ND STREET
NEW YORK CITY

Nakładem „Książnicy Polskiej” w Glasgow, 242 Hope Street
ukazał się świeżo

przedruk zbioru wierszy powstałych po kampanii
wrześniowej i wydanych konspiracyjnie w Warszawie

p.t.

ANTOLOGIA POEZJI WSPÓŁCZESNEJ

Przedmowa Tymona Terleckiego

cena 2 sh.

Czysty dochód na Fundusz Pomocy dla Polaków w Rosji.

6251/11. 3

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM I

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 6

LONDYN

WRZESIEŃ

1942

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

STARE I NOWE DROGI WIEDZY O MICKIEWICZU

Zaledwie serce wielkiego poety przestało bić, stał się on w narodzie przedmiotem kultu, który miał wciąż wzrastać, a który znalazł najbardziej widomy wyraz w sprowadzeniu jego zwłok i pochowaniu ich w grobach królewskich na Wawelu. I, z chwilą śmierci Mickiewicza, ustały, jakby pod wpływem czarów, wszystkie zarzuty, oskarżenia, jakich mu nieraz nie szczędzono za życia; wręcz przeciwnie, nastąpiła doraźnie jakby cicha umowa, aby we wszystkim, co ma styczność z Mickiewiczem, ścierać kanty, usuwać zadrażnienia, iżby, w tak ciężkiej ówczesnej doli narodu, bodaj on jeden mógł być znakiem jednoczącym wszystkich w nieustającym hołdzie i miłości.

Równocześnie, w tymże momencie, największy nasz poeta i pisarz wchodzi do historii literatury, staje się przedmiotem nauki. Tak życie jego i twórczość będą odtąd poddane drobiazgowym badaniom: bibliografia mickiewiczowska rośnie imponująco, biblioteki, muzea, zbiory gromadzą od początku każdy szczątek, każdą pamiątkę, mające związek z Mickiewiczem. Mimo to, dziś w 85 lat od śmierci poety, nie podobna rzecz, aby cel tych prac był w pełni osiągnięty, a trud ich bodaj w przybliżeniu ukończony. Przeciwnie, można powiedzieć, że wśród wszystkich pisarzy polskich, Mickiewicz należy raczej do tych, o których wiedza jest najmniej pełna; i owszem, wiedza ta ukazuje sporo luk i wątpliwości i pozostawia aż nazbyt dużo do zrobienia.

Stwierdzenie to nie ma być jakimś „aktem oskarżenia“ w stosunku do naszej nauki. Chcę tylko zestawić pokrótce przyczyny, które składały się na to, że wiedza o Mickiewiczuzie nie

mogła iść normalnym torem. Po pierwsze dlatego, że długi czas warunki polskiego życia—i pewnych gałęzi nauki także—nie były normalne; a po wtóre dlatego, że miejsce, jakie zajął Mickiewicz w życiu uczuciowym narodu, przekraczało znacznie granice historii literatury. Otóż, zrozumiałe jest, że nauka o literaturze nie mogła nie ulegać naciskowi takiego stanu rzeczy, nie mogła pozostać obca płynącym stąd sugestiom i nakazom.

A sam jej przedmiot był tu niepospolicie trudny! W posłowie do „Pana Tadeusza,” Mickiewicz marzy o tym, by kiedyś wzięły wieśniaczki do ręki „te księgi proste jako ich piosenki.” Czy w istocie takie proste? Trzeba uczynić rozróżnienie. W istocie, słowo Mickiewicza jest cudem prostoty—prostoty wielkiego natchnionego artysty. Ale jego materiał twórczy bywał bardzo nie prosty, jak nie proste były warunki narodowego bytu z których właśnie twórczość Mickiewicza wyrosła. Same bodaj „realia” tego Soplicowa w „Panu Tadeuszu” jakże są skomplikowane, ileż mają i jak różnych podszewek! Nie łatwo podjąłbym się je wytłumaczyć wieśniaczce, a nawet i nie wieśniaczce. Podobnie i koleje życia Mickiewicza, i jego indywidualność i twórczość, i losy jego dzieła i sławy nastroczają niejedną zawilosc.

Jak już wspomniałem, śmierć Mickiewicza stanowi przełom w stosunku pewnych warstw narodu do poety. Za życia często niezrozumiany i zwalczany—po śmierci uwielbiany przez wszystkich, nietykalny, ubóstwiony, otoczony najdrażliwszym kultem.

I wydaje się pewne, że na to, aby się w danej chwili mógł stać dla wszystkich „i miodem i mlekiem i krwią duchową”—jak pisał o nim (po śmierci) Krasiński—na to musiał Mickiewicz umrzeć. I nie tylko umrzeć. Na to musiało i jego życie i jego dzieło przejść ten proces sublimacji, jaki w istocie stał się ich udziałem. A w procesie tym nauka współpracowała z legendą.

Wiedza o Mickiewiczu zaczęła się właściwie od legendy. Bo legendą musiał się stać ów poeta, nieobecny w kraju, człowiek, którego tylko nieliczni znali lub widzieli na oczy, którego cały żywot był tułaczką wśród obcych. I ślady tego żywota, świadectwa jego zdarzeń, miały być rozproszone: Moskwa, Paryż, Rzym, Konstantynopol. . . .

Później legenda zaczęła się przekształcać w naukę. Ale w jakich warunkach! W dobie tragicznych katastrof narodowych i wynikłej stąd najbardziej obolałej drażliwości. W kilka zaledwie lat po śmierci Mickiewicza przychodzi rok 1863. W zmianie stosunków polsko—rosyjskich już po r. 1831, a cóż dopiero po r. 1863, jakże trudno było psychologicznie rozważać np. stany duszy i pojęć Mickiewicza z czasu jego pobytu w Rosji w latach 1825—1829, skoro już współcześnie Mickiewicz musiał się dość ostro odcinać dawnym towarzyszom wileńskim w odpowiedzi na ich zgorszenia i pouczenia. To też ten pobyt

w Rosji, jeden z najbujniejszych i najciekawszych okresów w życiu poety, omawiany był przez długi czas jakże nieśmiało, badany jakże niedokładnie!

Cóż dopiero moment powstania listopadowego. Jakże „nie prostą“ była sytuacja, gdy młodzież warszawska śpieszyła pod broń, mając na ustach „Ode do młodości“, powtarzając wiersze z „Konrada Wallenroda“, gdy ich autor przyjmuje w Rzymie wiadomość o powstaniu nieufnie i niechętnie. I to znów tłumaczy, czemu ten okres, tak przełomowy w życiu i twórczości Mickiewicza, przez długi czas traktowany był znowuż tak nieśmiało, czasem nieomal pomijany. Znam grube i i sławne, tzw. „podstawowe“ monografie o Mickiewiczu, gdzie sprawa powstania listopadowego, w której następstwie Mickiewicz—jak sam pisze—miał być bliski samobójstwa, zajmuje mniej miejsca niż rozbiór wierszyka „Powrót taty.“

Z tych samych—i jeszcze innych—przyczyn, bardzo długo jakże drażliwy dla naszej mickiewiczologii (i tym samym prawie nietykany) był pobyt Mickiewicza na wsi w Poznańskim, gdzie poeta zatrzymał się w r. 1831 opodal granicy, jadąc do Warszawy z Rzymu przez Paryż. A przecież tu właśnie rozgrywa się ów walny dramat życia Mickiewicza, tu rozstrzyga się przyszły jego los, w momencie, gdy widzi ciągnących na emigrację rozbitków. A wreszcie tych kilka miesięcy to są jedyne chwile, które Mickiewicz przeżył w rdzennej Polsce. I ten jego pobyt w Poznańskim był do ostatnich czasów—z różnych powodów, przy których nie będę się tu zatrzymywał—prawie że zignorowany.

A towianizm! Ta dziwna sekta, będąca mieszaniną wielu sekt szerzących się współcześnie na Wschodzie i na Zachodzie, z domieszką jakiegoś zniekształconego saint-simonizmu w wersji „Ojca Wiekuistego“ Prospera Infantin, spowinowacona—zmieszana nawet—z okrzyczaną sektą Vintrasa, znieawidzona i osławiona we współczesnej Polsce, opanowana przez wpływy, ekstazy i swary kobiet, jakże została przyrządzona na słodko i na anielsko, jak wysterylizowana przez większość naszych badaczy! Aby rozgrzeszyć udział Mickiewicza, trzeba było wypromować Andrzeja Towiańskiego niemal na świętego, pisać o nim w tonie niczym nieuzasadnionej dewocji. Tu już można powiedzieć, że wszystko prawie, co wypisano o Towiańskim i o towianizmie mija się z pojęciami o naukowym poznaniu. A Towiański i jego koło to przecież co najmniej dziesiątek lat w życiu Mickiewicza. Sądzę, że historia towianizmu i Mickiewicza na tle towianizmu jest od A do Z na nowo do napisania. I nie ja jeden tak uważam; pisał w tej sprawie stary wilnianin, poeta i krytyk, Czesław Janowski:

„. . . w oficjalnej biografii Mickiewicza panuje mrok, mrok, mrok . . . bynajmniej nie naturalny, ale sztucznie zaaranżowany ad usum Delphini, jawnie i oczywiście dlatego, aby pozostały

niewyjaśnione i niezgłębione „na wieki wieczne“ niektóre strony tej istnej zmory zwanej popularnie i ogólnikowo towianizmem, co zaciążyła tak fatalnie na całym sporym okresie życia i działalności Adama Mickiewicza. . . .“

I niech ktoś nie mówi, że to wszystko dotyczy życia Mickiewicza a nie twórczości, a że twórczość jest właściwym przedmiotem historii literatury. Po pierwsze, twórczość splata się najściślej z życiem i z niego wyrasta. Sprawa towianizmu na przykład łączy się bezpośrednio z wykładami Mickiewicza w Collège de France. Po wtóre, sposób w jaki się nauka nasza przez długi czas ustosunkowywała do życia Mickiewicza, musiał się odbić i na jej stosunku do twórczości poety. A wreszcie, przecież Mickiewicz był nie tylko poetą, ale także politykiem, działaczem, przewodnikiem narodu, częścią jego żywej historii. I tym wszystkim staje się właśnie w ciągu owych 21 lat, które nastąpiły po wydaniu ostatniego poetyckiego utworu— „Pana Tadeusza“—aż do śmierci. Jakżeby tak doniosłe sprawy jego życia mogły nas nie obchodzić?

Dodajmy wreszcie, że dawna mickiewiczologia bynajmniej nie stroniła od tematów biograficznych; wprost przeciwnie; lecz czyniła to z pewnym wyborem. Najchętniej rozpisywano się o czasach wileńskich, o filomatach, o pannie Maryli; im dalej, tym wiadomości stawały się skąpsze i coraz surowiej—aby tak rzec—ocenzurowane. I mam wrażenie, że jeżeli w ostatnim czasie święciły u nas sukces tezy t. zw. formalizmu, odwracające się radykalnie od rozważań osoby twórcy, jego światopoglądu, treści społecznej jego twórczości, a widzące jakoby tylko jego dzieło, to niemałą w tym rolę odegrały może właśnie kłopoty, coraz bardziej narastające w związku z Mickiewiczem i dające się odczuć młodszemu pokoleniu badaczy. W danych warunkach wdzięczniejszym wydawało się zadaniem znaleźć nowe argumenty formalne dla wykazania jeszcze raz, że „Sonety krymskie“ są arcydziełem, niż natknąć się np. na poszlaki, że sonety miłosne zrodziły się w buduarze carskiego szpicla, jakim w świetle nowych badań rosyjskich puszkiniistów, okazała się hrabina Karolina Sobańska, odeska i krymska muza niedoświadczonego poety. Zacięty formalista powie, iż to nie zmieni faktu, że sonet ma 14 wierszy. Ale czyż można powiedzieć, że jakieś okoliczności dotyczące się okresu, gdy zadzierzgnęły się stosunki Mickiewicza z rosyjskimi rewolucjonistami, nie są dla nas interesujące?

Okres „Trybuny Ludów“—nowe drażliwości. Za życia i po śmierci zwłaszcza po śmierci. Sfery dające wówczas ton polskiemu życiu, te sfery, które z autora „Pana Tadeusza“ chciały uczynić „swojego“ poetę, aż się wzdrygnęły na widok wyłaniającego się z mroku Mickiewicza „czerwonego,“ jawnego socjalisty. I nie dziwny się, że w ówczesnej atmosferze hr. Stanisław Tarnowski, reakcyjny polityk a wieloletni profesor

literatury zaklinał syna poety, Władysława Mickiewicza, aby zniszczył wszystkie ślady działalności ojca z epoki „Trybuny Ludów“; ba, dziwił się, że syn poety jeszcze tego sam nie dokonał! A pewien młody uczony krakowski protestował przeciw „odgrzebywaniu“—jak pisał—zapomnianych pism i artykułów Mickiewicza. Chodziło oczywiście o artykuły z „Trybuny Ludów.“ Syn poety nie poszedł w tym sensie na rękę tej swoistej cenzurze, wydobywając ten okres działalności Mickiewicza—choć późno i nazbyt oględnie—na światło; w zamian za to, jak ujrzymy za chwilę, miał przez długie lata uprawiać cenzurę na swoim wielkim ojcu na własną rękę.

I inne jeszcze momenty życia i działalności Mickiewicza były przez dziesiątki lat zakonspirowane, choćby ów legion żydowski w Konstantynopolu, dziwaczny ale arecyiekawy epizod, fantastyczna a zarazem realna militarno-polityczna kombinacja, wedle której Rothschild paryski miał jakoby zostać udzielnym księciem Jerozolimy, w zamian za pomoc w finansowaniu legionu z ochotników Żydów, który by w czasie wojny krymskiej walczył obok formacji polsko-kozackich przeciw caratowi. Bądź co bądź, ta sprawa, tak powszechnie przemilczana, warta była uwagi choćby dlatego, że była ona ostatnią, którą się Mickiewicz w życiu zajmował; w pełni prac organizacyjnych około tego legionu umarł dn. 26 listopada r. 1855.

Szczegóły tego epizodu—których nie będę tu przypominał—świadczą, jak bardzo Mickiewicz w działalności swojej chadzał własnymi drogami i jakie rozdźwięki mogły się zdarzać—dopóki żył—między nim a znaczną częścią społeczeństwa.

Wspomniałem przed chwilą imię Władysława Mickiewicza; otóż wydaje mi się konieczne przypomnieć rolę, jaką odegrał w naszej mickiewiczologii. Nie podobna wręcz mówić o warunkach kształtowania się naszej wiedzy o Mickiewiczu, nie poświęciwszy kilku słów problematowi syna jego Władysława.

Jest to zjawisko dość złożone. Z jednej strony niezwykle jest życie tego syna, który cały swój trud i niesłabnący zapał poświęca kultowi wielkiego ojca; z drugiej strony, trzeba określić charakter, jaki ta synowska metoda pracy musiała nadać nauce. I znowuż muszę się zastrzec, że nie chcę tu powiedzieć nic złego o tym działającym zapewne w najlepszej wierze człowieku; anomalią było jedynie połączenie dwóch funkcji, których atrybuty i cele bywają różne: przedstawiciela rodziny poety, oraz roli męża nauki, uświęconego patrona naszej wiedzy mickiewiczowskiej, które to funkcje przez wiele lat Władysław Mickiewicz siłą faktu sprawował. Bo Władysław Mickiewicz, który przez pół wieku z górami gromadził wszystko, co tyczyło się pamięci ojca, był jedynym wydawcą listów Mickiewicza, samowładnym panem paryskiego mickiewiczowskiego archiwum, pisał o Mickiewiczu dzieła o charakterze biografii, był przez wiele dziesiątków lat regulatorem i faktycznym cenzorem wiedzy

o Mickiewiczu. Był nim i przez autorytet swego nazwiska— z czasem i sędziwego wieku—a także w myśl zasady: „beatus qui tenet.“ Bo Władysław Mickiewicz zdołał, właśnie dzięki powadze nazwiska i dzięki wytężonej skrzętności w tej mierze, dostać w ręce przeważną ilość dokumentów dotyczących wielkiego ojca. Zdobywał je na wszelkie sposoby: jedni oddawali mu je chętnie z wiarą że idą w najlepsze ręce, albo też wypraszał je, wyciskał, terroryzując łagodnie posiadaczy, w potrzebie skupował je. Ten i ów, świadomszy, odnosił się nieufnie do tej synowskiej misji: tak np. Artur Wołyński odmawia użyczenia mu pewnego ważnego dokumentu i z tej okazji pisze: „Nikommu bym nie powierzył rękopisu, nawet kochanemu panu, bo cię ludzie obwiniają, że dokumenty fałszujesz przez obcinanie i przerabianie ustępów, które ci się nie podobają; że dokumenty pożyczone do odpisania zatrzymujesz, a właścicielowi oddajesz facsimilia z nadwyreżonym tekstem; że w swoich publikacjach naciągasz jedno fakta, inne zupełnie pomijasz milczeniem . . .“ Tak pisał Wołyński, ale widzimy, że w końcu i on nie wytrzymał nacisku i żądane dokumenty w ręce Władysława wydał; jakoż z tą chwilą przepadły bez wieści. Chodziło o ważny przyczynek do spraw towarzyszenia.

Bo co się ze zgromadzonymi dokumentami dalej działo, to zależało istotnie w zupełności od uznania „pana Władysława“; jedne spożytkowywał, mniej lub więcej wiernie, inne chował, inne może niszczył, gospodarując w nich dowolnie i arbitralnie—jako syn, a rezultaty tej gospodarki publikując jako uczone i oddając je w ręce nauki. Pisał swego czasu—w liście prywatnym—zasłużony Gabriel Korbut: „Rzecz zadziwiająca, że niektórzy historycy literatury naszej wciąż jeszcze traktują poważnie to wszystko, co opowiadał i pisał o ojcu swym Władysław Mickiewicz.“ Ale brali poważnie. Czterotomowy życiorys ojca, pióra Władysława Mickiewicza—praca pożyteczna w pewnych partiach, więcej niż wątpliwą w innych—była zbyt długo rodzajem autorytetu.

W działalności tej, prowadzonej konsekwentnie, wspomagała syna poety rodzina: przed kilku laty czytaliśmy w jednym z pism relację o ważnych listach Mickiewicza, które były w posiadaniu znanego lwowskiego pisarza Bełzy, zapalonego zbieracza a czciciela Mickiewicza; córka poety wydobyła od Bełzy te listy „pod słowem“ na jeden dzień, i z tą chwilą listy przepadły.

W tych warunkach można sobie wyobrazić, jaki miało charakter wydanie listów Adama Mickiewicza, dokonane przez jego syna w kilka lat po śmierci poety. Że to wydanie jest nie wierne, stwierdza to już wówczas programowo i z uznaniem tego stanowiska Klaczko w broszurze „O korespondencji Mickiewicza“ (1861). Pisze tam Klaczko, że przy wydawaniu takich „tajnych dokumentów“ z życia wielkich ludzi, wydawca

musi mieć na pierwszym miejscu „dobro i w dobrym utwierdzenie,“ a w takim razie, poświęci on niejedyn dokument, jakkolwiek ciekawy i cenny . . . Bo nie wszystko co zaszło, godne jest zachowanie dla przyszłości.“ Nie kwestionuję tego stanowiska—w związku zwłaszcza z datą wydania listów, tak bliską śmierci poety; uważam za rzecz poniekąd normalną, że pierwsze wydanie listów wielkiego człowieka bywa z reguły okrawane. Ale zazwyczaj, po jakimś czasie, materiał przechodzi do rąk ludzi nauki, aby się stać podstawą badań, a wreszcie wydań pełnych i krytycznych. Otóż tutaj rękopisy były niedostępne, a to synowskie wydanie, w pewnych partiach istny hieroglify utrudniający rozumienie spraw, o których w liście mowa, wydanie mijające się z wszelkimi wymaganiami nauki, było do ostatniego czasu jedynym, jakie nasza wiedza o Mickiewiczu miała do rozporządzenia w ciągu lat 85! Rzecz prosta, że i takie jak jest, jest ono niezmiernie cenne przez sam materiał jaki zawiera, mimo iż w sposobie tego wydania czuć wyraźną tendencję raczej do zaciemnienia niż do rozjaśnienia wielu momentów.

Znamienne światło na te sprawy rzuca znany fakt, zanotowany przez Bełzę. Stwierdza on mianowicie, że Konstancja Łubieńska, zmarła w r. 1866, „na trzy lata przed zgonem, chcąc ocalić część listów otrzymanych od wieszczki, z obawy aby krewni dla uniknięcia zgorszenia nie skazali ich na spalenie, ogłosiła je drukiem i trzymała w bezpiecznym ukryciu, a poleciła puścić w obieg księgarski dopiero po swej śmierci.“

Znamy te listy; nie ma zaiste w nich nic, co by trąciło „zgorszeniem“; ale bardzo prawdopodobne jest, że obawy i ostrożności Konstancji Łubieńskiej były słuszne.

Co się tyczy nowego, zbyt długo oczekiwanego wydania listów poety, to dopiero rozpoczęło się ono w tzw. sejmowym wydaniu Mickiewicza i objęło zalewie pierwszy okres. Więcej niż wątpliwe jest, czy byłoby ono pokonało trudności wynikłe z trwającej do ostatniego czasu cenzury rodzinnej, z niedostępności lub ewentualnego zniszczenia czy zniekształcenia części oryginałów.

Zaznaczam jeszcze raz, że ja nie obwiniam tu Władysława Mickiewicza bezwzględnie; jako syn czy przedstawiciel rodziny nie podlega naszym sądom; więcej już wątpliwości nasuwa w związku z tym rola rzetelnego badacza naukowego jaką odgrywał; zupełnie zaś anormalnym wydaje mi się to, że cała niemal nasza ówczesna nauka nie tylko nie walczyła z tym stanem rzeczy, ale przeciwnie, składała przez dziesiątki lat Władysławowi Mickiewiczowi wszystkie hołdy i wyrazy uznania—bez zastrzeżeń—i to do ostatniego czasu—za tę właśnie działalność, której metody były w świecie uczonych publiczną tajemnicą. Może—nie chcę tego rozstrzygać—cenzura taka uważana była za potrzebną lub nawet za konieczną? I może

mężowie nauki byli w duchu wdzięczni Władysław i Mickiewiczowi za to, że wziął na siebie tę cenzurę, której uprawianie im, ludziom czystej wiedzy, byłoby dość kłopotliwe. Wydaje mi się to wcale prawdopodobne.

Faktem jest, że w następstwie tego stanu rzeczy, ktokolwiek się interesował sprawami związanymi z Mickiewiczem, wszędzie natrafiał na ślad wytrwałej niszczycielskiej ręki. Przykładem choćby zapieczętowany depozyt Wołyńskiego, który znikł bez śladu z Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie, albo pamiętnik z okresu towianizmu Mickiewicza, spisany przez szwagierkę poety. Jak daleko to sięgało, czy większość zdobytych w ten sposób przez syna dokumentów została zniszczona, czy znajduje się gdzie w skrytkach Biblioteki Polskiej w Paryżu, która miała w tym zakresie charakter na wół prywatnego archiwum rodziny Mickiewiczów, czy wreszcie znajduje się w ściśle osobistym posiadaniu tej rodziny, trudno orzec; znając tę swoistą atmosferę i pojęcia, sądzę, że wiele rzeczy raczej uległo zniszczeniu.

Godzi się zaznaczyć, że po śmierci Władysława Mickiewicza sprawy te bynajmniej się nie poprawiły; raczej przeciwnie. Samowładną panią archiwów mickiewiczowskich stała się jego córka Maria Mickiewiczówna, sędziwa stara panna, też zapewne bardzo zacna, ale arbitralna, nieufna, pełna uprzedzeń i przesądów a wierząca w swoje prawa i w swoją misję. Liczba wybranych, mających dostęp do źródeł wiedzy o Mickiewicz, stała się za jej rządów jeszcze szczuplejsza. Znamienne zaś jest, że z kolei panna Mickiewiczówna stała się po ojcu przedmiotem bezkrytycznych hołdów sugerowanych przez ludzi nauki; sam byłem świadkiem jak jej Akademia Literatury przyznała złoty wawrzyn akademicki—chyba za utrudnianie postępów wiedzy o Mickiewicz.

Widzimy, że gdy mowa o studiach nad Mickiewiczem, nie podobna ominąć roli rodziny. Wspomnę więc, że był jeszcze jeden spadkobierca praw i członek dynastii, dr. Ludwik Górecki, rodzony wnuk Adama Mickiewicza, postać dobrze znana w Paryżu, „Lulu Górecki“ jak go nazywali znajomi. Znałem go od wczesnych lat, kiedy ten młodziutki paryżanin, mocno z francuska mówiący po polsku, przyjechał pierwszy raz do kraju na pamiętny pogrzeb Mickiewicza w Krakowie. Pogrzeb uczynił na nim wielkie wrażenie. Przypuszczam, że to sceptyczne dziecię paryskiego bruku, znudzone pietystyczną atmosferą panującą w domu, uważało po trosze Adama Mickiewicza za wielkość raczej familijną; faktem jest, że na widok imponującej manifestacji krakowskiej młody „Lulu“ kręcił głową w paryskim cylinderku i powtarzał grasejując: „Nie wiedziałem, że mój dziad jest taki popularny.“ Przed kilku laty niemłody już i ociemniały Górecki przyjechał do Warszawy w związku z procesem rewindykacyjnym o majątek, skonfiskowany Góreckim przez rząd rosyjski po powstaniu r. 1830; dał mi znać, że chciał-

by się ze mną widzieć. Myślałem zrazu, że to ma jakiś związek z „Brązownikami,” którzy wówczas ukazali się świeżo, ale pokazało się, że to tylko tak, z przyjaźni. Jedyne mimochodem Górecki pod koniec rozmowy natrącił: „A wiesz, te rzeczy, którymi się interesowałeś, ten pamiętnik i cała korespondencja między moją babką Celiną a jej siostrą, to było u mnie, to ja miałem to wszystko.”—„I co się z tym stało?”—spytałem zaciekawiony.—„A, spaliłem, spaliłem,”—odpowiedział,—„po co się to . . . (tu nastąpiło bardzo dosadne określenie) miało poniewierać między ludźmi.” Chodziło znowuż o sprawę z epoki towianizmu.

Zaznaczę tutaj, że „Lulu” był trochę blagier, tymi rzeczami mało się interesował i był od nich przez Władysława Mickiewicza raczej odsunięty; bardzo więc możliwe jest, że nic nie miał i nic nie spalił; ale cytuję to dla ilustracji, w jakich rękach były lub mogły być losy naszej wiedzy o Mickiewiczu.

Oto stan rzeczy, oto fakty. Przedstawiam je jak były, nie chcę o nich tu wydawać sądu. Ostatecznie, historia literatury to nie matematyka ani geometria; trudno jej zapewne nie ulegać nastrojom uczuciowym i drażliwościom społeczeństwa. Nie czas tu również rozstrzygać, w jakiej mierze im ulegała, a w jakiej może i podsycala je bezwiednie.

Zrozumiałe jest również, czemu ten stan rzeczy, wytworzony przez pewne swoiste warunki, nie mógł ustąpić, gdy te warunki przed laty dwudziestu paru zmieniły się. Przede wszystkim przeszłość pozostawiła nam w spadku szereg zasadniczych dzieł i opracowań dotyczących się Mickiewicza; starsze pokolenie uczonych wychowało młodsze. Po wtóre, półwiekowa praca Władysława Mickiewicza nad scentralizowaniem dokumentów w zamkniętych archiwach poza granicami kraju (co było może uzasadnione w przeszłości), stworzyła fakty dokonane; ograniczyła dostęp do badań mickiewiczowskich do nielicznej garstki wybranych i nałożyła tym badaniom swoje rygory. To były studia najbardziej ekskluzywne. Duch swoistej cenzury nadal ciążył nad wiedzą o Mickiewiczu.

Toteż w tych okolicznościach nieraz nowe oświelenia przychodziły raczej od ludzi, którzy mieli do dyspozycji jakieś inne, własne materiały, znowuż niedostępne innym. Wspominałem o cennym wkładzie rosyjskich puszkinistów w naszą wiedzę o Mickiewiczu w zakresie pobytu w Odessie i wycieczki na Krym. Z drugiej strony znowuż, ksiądz Urban, jezuita, rozszerzył (i otrzeźwił poniekąd) tę wiedzę swymi znanymi rewelacjami, wedle których rzekoma świątobliwa matka Makryna Miecysławowska, ksieni klasztoru bazylianek w Mińsku, męczennica i ofiara gwałtów carskich, nie była w istocie ani męczennicą, ani ksienią bazylianek, których wogóle podobno w Mińsku nie było, ale czelną oszustką, agentką carskiej policji. Odkrycie było dość sensacyjne, zważywszy, że matka Makryna była

szeroko spopularyzowaną bohaterką poematu Słowackiego o jej rzekomym męczeństwie i sprawczynią spowiedzi i nawrócenia Mickiewicza w r. 1848 w Rzymie. Rzecz oczywista, że ksiądz Urban, ze względu na swój duchowny charakter, mógł mieć otwarte archiwa i drogi zupełnie specjalne. Można zresztą przypuszczać, że gdyby nie zadawniona niechęć zakonu jezuitów do zakonu zmartwychwstańców (którzy stworzyli poniekąd mateczkę Makrynę), ksiądz Urban nie zdecydowałby się na tę rewelację. I gdyby nie ta okoliczność, dotąd czczonoby „matkę Makrynę” jak świętość narodową.

A oto osobliwość; już po rewelacjach księdza Urbana, których nikt nawet nie próbował kwestionować, tak były niezbitcie udokumentowane, niektórzy historycy literatury nadal jeszcze pisali o świątobliwej mateczce Makrynie w takim tonie jak poprzednio. Ci mieli brąz we krwi!

Oczywiście, to wszystko, co tu podaję w skrócie, nie dotyczy zapewne całej nauki; niemniej atmosfera taka mogła oddziaływać nawet na tych, którzy jej potrzeby nie uznawali. Tacy, unikając konfliktu między kłopotami prawdy a sumieniem i pasją badacza, woleli się nieraz zwrócić do innych, mniej najeżonych drażliwościami przedmiotów. Znam takie przykłady.

W rezultacie, gdybyśmy mieli zrobić bilans naszej wiedzy o Mickiewiczu, musielibyśmy stwierdzić jej nierównomierność. Jedne okresy opracowane są bogato i drobiazgowo, inne—często bardzo ważne—świecą lukami lub czymś jeszcze gorszym.

Wspomniałem o pobycie poety w Rosji i o możliwości rzucenia nowych światła na ten okres: ale ta możliwość ciąga się i na inne epoki życia Mickiewicza. Bo rzecz prosta, że jak Mickiewicz, tak i cała emigracja polska musiała być przedmiotem baczonej uwagi caratu i że uwaga ta mogła znaleźć wyraz w urzędowych aktach.

Swojego czasu, kiedy się toczyła żywa polemika o pewne sprawy związane z Mickiewiczem, miałem sposobność dość często rozmawiać z jednym z naszych najznakomitszych historyków. Był to człowiek, który wiedział mnóstwo, ale który również nie wszystko pisał co wiedział. Wyznawał w tej mierze zasady mickiewiczowskiego mędrca—i ten dwuwiersz Mickiewicza nieraz słyszałem w jego ustach—że są prawdy, które mędrzec mówi przyjaciółom w domu, są takie, których mędrzec nie mówi nikomu—nawet kiedy jest historykiem. . . .

Korzystając z tego, że byłem właśnie u niego w domu i że rozmawialiśmy po przyjacielsku, spytałem raz owego znakomitego uczonego: „Co pan naprawdę myśli o Towiańskim?”

Wzruszył ramionami i rzekł:

„Proszę pana, dopóki my nie znamy raportów ambasadora rosyjskiego w Paryżu, przesyłanych do Petersburga, dopóty nic właściwie nie możemy wiedzieć o Towiańskim.“

Nie przytaczam tego w żadnej mierze po to, aby dać wyraz jakimś przedwczesnym i nieuprawnionym sądom o Towiańskim ani sugestiom w tej mierze ; jedynie czynię to dla wskazania, jak dalece nawet najodleglejsze od Rosji okresy życia Mickiewicza mogłyby tam właśnie znaleźć swoje oświecenie.

Ostatni moment związany z chwilą obecną, to może samo oddziaływanie nowej rzeczywistości dziejowej na naszą wiedzę mickiewiczowską. Nowa rzeczywistość zmusza pod wieloma względami do nowego spojrzenia, uczy myśleć innymi kategoriami. Zmienia się widnokraj, zmieniają się pewne nastawienia ; niejeden pogląd może być poddany rewizji, niejeden konwenans może ulec zmianie. A jeżeli przyjdzie przy tym tę i ową rzecz przeświecić na nowo, dla nauki będzie to tylko zyskiem.

Jednego tylko jestem pewny : tego, że jakimkolwiek badania mickiewiczowskie poszłyby drogami, jakiekolwiek miałyby dać wyniki, postać samego Mickiewicza wyjdzie z nich co najmniej równie piękna i wspaniała, jak ta, którą nauczyliśmy się kochać i czcić od dziecka.

Artykuł niniejszy, opublikowany we Lwowie, pod okupacją sowiecką, jest jedną z ostatnich prac Boya-Zeleńskiego zmarłego tragicznie w niemieckim obozie koncentracyjnym.

ANTONI SŁONIMSKI.

TEN JEST Z OJCZYZNY MOJEJ....

Ten, co o własnym kraju zapomina
Na wieść jak krwią opływa naród czeski,
Bratem się czuje Jugosłowianina,
Norwegiem, kiedy cierpi lud norweski,

Z matką żydowską nad pobite syny
Schyla się, ręce załamując żalem,
Gdy Moskal pada—czuje się Moskalem,
Z Ukraińcami płacze Ukrainy,

Ten, który wszystkim serce swe otwiera,
Francuzem jest gdy Francja cierpi—Grekiem,
Gdy naród grecki z głodu obumiera,
Ten jest z ojczyzny mojej. Jest człowiekiem.

„KWIATY POLSKIE“

Po błyszczącej trawie,
Po pachnącej świeżo,
Chodzą Panny ulubione,
Spódniczkami śnieżą.

Nie byle dziewczyny,
Panów majstrów córki !
Pochrzęstują na staniczkach
Koralików sznurki.

Zobaczyły chłopców,
Otoczyły mgiełką,
Nawionęło, zawoniało
Różowe mydelko.

Prosimy, prosimy
Panów kawalerów !
Na murawie obrus biały,
Tkany przez szpinerów.

Na obrusie bułki,
Serdelki, ogórki,
Jak zaczęli wtrajać,
Nie zostało skórki.
(Po bajgiełkach, obwarzankach
Połykali dziurki.)

Maczali w musztardzie
Kaszanki, blutwurszty,
Jak zajadą w pełny słoik,
To on zaraz pusty.

Chrupali, chrustali
Ostre korniszonki,
A w kapuście skwarki były
I kawał gołonki.

Oj, śledzie, pyklingi,
Oj, wędzone ryby !
Żebyście wy nóżki miały,
Nie zostawiliby !

Nie poodlepiają
Szprotek pozlepianych,
A w rolmopsach nie darują
Zatyczek drewnianych.

Czereśnie-kraszanki
I kwaskowe „szklanki“
Panny z drzewa otrząsały,
Napełniały dzbanki.

Przyfrunęły wróble,
By odziobać resztki,
A na trawie wokoluško
Ani jednej pestki.

Potem im nosiły
Panów majstrów córki
Wielkie pączki z powidłami
I kremowe rurki.

Irysy, hopjesy,
Chałwę i „ciąguty“,
Sachar maroż, rachat łukum,
Wafle i andruty.

Rąbały toporkiem
„Białomiodu“ kamień,
Jak go zagryźć, to się w zębach
„Ciąga“ pasemkami.

Wreszcie jabłka na patykach
Dostał każdy smakosz
I ledzieńce do lizania,
Na patykach takóż.

Zapijali chlebnym kwasem
I sodową z sokiem :
Malinowy, cytrynowy
Płynęły potokiem.

Jak tę wodę łyżką mieszać,
To ciareczki syczą,
Pęcherzyki pod nos biją
I jest bardzo byczo !

Jak nie skoczą te majstrówny w gąszcz leśny !
„Teraz gońcie nas, szukajcie, gdzieżemy !“
Zabiegały, zamigały wiewem białym ;
Białe sarny takby w borze biegały.
Z drzew wynurzą się, oczyma zaświecą,
Zaobłoczą i w zadrzewie ulecą.
Byłoż tam mocowań, łaski, zadyszania,
Kiedy chłopak pannę doganiał !
Byłoż tam całowań, pisku, zamierań,
Gdy do drzewa chłopak pannę przypierał !
A łaskotu, a chichotu, przeciwień !
Bo majstrówny były bardzo łechczywe.
I mówiły im na ucho sekrety
I szeptały rozemdlale : oj rety !
Szeleściły panny po mchu, po chróście,
Upraszały ich najmilej : oj, puść mie !
Cycki u nich gumiaste, jak graca :
Jak nacisnąć, to wkleśnie, potem wraca.
To sięgali, nagnietali : może strzeli ?
Z mlecznych czasów pamiętali. Pragnęli.
A to były już wiedzące dziewczyny,
Miały one tej lubości przyczyny.
A ci chłopcy byli jeszcze bez wieści,
Witkom w kwietniu nierozwitym rówieśni.
Jeszcze byli w domyśle ; nie wiedzieli,
Czemu łomot w piersi i zachłyst w gardzieli.
Kto przyciśnie swoją pannę do drzewa,
Temu serce tajna trwoga zalewa.
Jak się która z chłopcem w krzakach szamoce,
On zębami, kolanami dygoce.
Słodko było mówić pannom z imienia :
Erna, Fryda, Olga, Wanda, Terenia.
A i one grzecznie do nich i gładko :
„Ach, prawdziwie, panie Edek, to zanadto !
„Ach i cóż pan, panie Czesiek wyrabiasz ?
„Ależ z pana, panie Gieniek niezgrabiasz !“
A te panny były wielkie chytrusy :
Tak gadały, a wodziły w pokusy.
Bo tam stało jezioreczko lustrzane,
Otaczały je skały omszałe :
To te panny nogi w wodzie pluskały,
Osrebrzone wychodziły na skały,
A te nogi w jeziorze zostały !
Panny srebrnym ogonem chlastały. . . .
Śmiechu było między chłopakami
Śpiewające widzieć ryby z cyckami !
Było śmiechu, lecz i łez gorących,
Od tych ślicznych piosenek smucących.

A najśłodziej śpiewała ta Erna,
 Tadzikowi-kaleczkowi wierna.
 Że on kulos nie mógł ganiać po lesie,
 To go sama w swoje gniazdo zaniesie.
 Było ono na drzewie-rozłogu,
 W leśnym niebie, w liścianym obłoku.
 Było ono koszem i łonem,
 Gdzie są w matkach dziecięta noszone.
 To ten Tadzik w tym gnieździe się skulił,
 A ta Erna miłosierna go tuli.
 Tuli w ciepłych pachnących opłotach,
 A on płacze, że jest wielki sierota.
 Przy chłopakach odstawia chojraka,
 A jak sam jest, toby tylko płakał.
 W ośmiu latach dziadyga ubogi :
 Ani ojca, ani matki, ani nogi.
 To ta Erna niebo roztworzyła,
 A tam jego noga chodziła.
 To on złapał tę nogę, przystawił,
 Skoczył z drzewa i z chłopcami się bawił.

JÓZEF WITTLIN.

EPILOG.

„Epilog“, który nadesłał nam z Ameryki Józef Wittlin, zamieścić będzie wydawnictwo „For Your Freedom and Ours—Democratic Heritage of Poland“, które niebawem ukaże się drukiem w Stanach Zjednoczonych. Książka ta, opracowana przez prof. Mansfeda Kridla, dr. Władysława Malinowskiego, oraz Józefa Wittlina, jest antologią polskiej myśli politycznej, demokratycznej i postępowej, na przestrzeni wieków. Obejmuje ona wyjątki z dzieł pisarzy, wyjątki z ważniejszych artykułów, mów i dokumentów historycznych od XV stulecia aż po druki i manifesty dzisiejszego ruchu podziemnego w Polsce. Antologja ukazuje się staraniem „Polish Labour Group“ w Stanach Zjednoczonych. Grupa ta, reprezentuje w czasie tej wojny polski ruch robotniczy na terenie Stanów Zjednoczonych. (RED.)

Na okręcie, który zimą 1941 r. wiozł mnie z Europy ku tym gościnnym brzegom, zawarłem znajomość z pewnym poważnym i wykształconym Amerykaninem. Po wielu latach, dobrze spędzonych w Europie zachodniej, wracał do swej ojczyzny wraz z liczną gromadą współobywateli, którzy podobnie jak on nie mogli znieść niemieckiej okupacji.

Zbliżyły nas z sobą cierpienia cielesne. W czasie bowiem okropnej burzy na oceanie mój amerykański towarzysz z dormitorium złamał rękę. Ja —coprawda potłukłem tylko obojczyk, mimoto skłonny byłem uważać siebie za istotę bardziej od Amerykanina poszkodowaną. On—lubo ze złamaną ręką—wracał do domu, do swego wielkiego, szczęśliwego kraju,

będącego domem rodzinnym wolności. Mnie zaś, bezdomnemu emigrantowi, burza jesienna 1939 roku, burza na suchym, aż nadto suchym lądzie — jak wszystkim Polakom — złamała życie.

Zrazu, jak przystało na przyzwoitych bliźnich, rozmawialiśmy o pogodzie, której ofiarą padliśmy obaj, chociaż w stopniu nierównym. W ramach pasażerskiej uprzejmości troszczyliśmy się wzajemnie o zdrowie, o opatrunki, w końcu zjechaliśmy na politykę i — oczywiście — na wojnę. Amerykanin bardzo niepochlebnie wyrażał się o Hitlerze i o Niemcach, grasujących w Europie, w szczególności zaś oburzał się na ich zachowanie w Belgji. Rychło go wszakże przelicytowałem krótką opowieścią o niemieckiej okupacji w Polsce. Słuchał mnie z zainteresowaniem, lecz w pewnym miejscu przerwał mi, i nie bez zniecierpliwienia zapytał: „Pan jest Polakiem?” I nie czekając odpowiedzi, oświadczył z szczerością, godną szacunku: „Nie mam dla Polski sympatji!”

—Dlaczego? — zapytałem zbity z tropu.

—„Nie mam, nie mogę mieć sympatji dla kraju, który sam tyle przecierpiał, a potem, gdy odzyskał niepodległość, gnębił mniejszości narodowe. Nie mogę mieć sympatji dla kraju, gdzie na ulicach napadano na bezbronných Żydów, a na uniwersytetach istniały jakieś „ghetta ławkowe”. . . . Dla kraju, którego rząd pierwszy uznał zabór Abisynji”. . . .

Tak, mój Amerykanin należał do licznych niestety cudzoziemców, którzy o Polsce słyszeli tylko to, co rzeczywiście jest godne potępienia. O walce mas chłopskich, robotniczych i inteligencji o demokrację w Polsce przedwojennej, o bohaterskiej obronie Warszawy, Lwowa, Modlina, Westerplatte, o czynach polskiej brygady w Norwegji, polskich lotników w Anglji — o wspaniałym oporze całego społeczeństwa, które nie wydało Quislinga — nie wiedział nic, lub też nie chciał wiedzieć. Znałe mu były tylko niektóre wstydlive schorzenia naszego bytu w ostatnich latach niepodległości.

Owszem, jestem wrażliwy na kolory. I w przyrodzie i w sztuce. Ale nie powiem, żebym przywiązywał wielką wagę do koloru skóry człowieka. W chwili jednak gdy ów Amerykanin zamiast współczuć niedoli mego kraju i męczeństwu moich rodaków wypominał mi to, co najlepszych Polaków oblewało rumieńcem wstydu, a gorszych Polaków zniewalało do obrony w stylu: „To królik zaczął . . .”, w takiej, niemiłej chwili, nie umiałem obojętnie patrzeć na jego skórę. Kolor jej szczególnie jaskrawo zabarwiał każde słowo padające z ust tego Amerykanina. Był to bowiem kolor czarny.

Nietylko wzgląd na to, aby murzyna nie urazić, lecz przede wszystkim kurtuazja wobec kraju, którego był obywatelem, a który to kraj tak wielkodusznie mnie przyjmował, — nakazywały mi milczenie o wszystkim, co w związku z traktowaniem murzynów w Ameryce obilo się o moje uszy. I zamiast zaproponować czarnemu gentlemanowi, żebyśmy n.p. po wylądowaniu w New Yorku zamieszkali w tym samym hotelu, jak umiałem — broniłem Polski. Tłumaczyłem, że nie wszyscy Polacy byli zwolennikami bicia Żydów, że znam liczne wypadki, kiedy t.zw. „aryjscy“ profesorowie i studenci doznawali ciężkich obrażeń ciała i duszy, za to, że Żydów bronili. A co się tyczy Abisynji, to sympatja większości Polaków była raczej po jej stronie, a nie po stronie faszystów. Mówiłem też, że obecna wojna wiele u nas zmieniła, że zbratała w obliczu wspólnej walki z okupantem nietylko ludzi różnych wyznań i ras, ale w tym zbrataniu wydobyła z narodów zamieszkujących Polskę ich najistotniejsze cechy, najmocniejsze akcenty duszy, zdolnej niejako biologicznie do heroizmu i poświęcenia. Niewiele to pomogło. Nie pomogła nawet opowieść o chłopach z pod Krakowa, którzy za ostatnie pieniądze, jakie posiadali, wykupywali Żydów od śmierci z niemieckich rąk. Czarny Amerykanin chciał o Polsce wiedzieć tylko tyle, że przed tą wojną był krainą reakcji, czarnej jak jego własna skóra.

Po tej rozmowie starał się unikać mego towarzystwa, mimo, iż całkiem niedwuznacznie dałem mu do zrozumienia, że sam należałem w Polsce raczej do potencjalnie bitych, niż do bijących.

Jaka szkoda, że nie mogłem mu wówczas dać niniejszej książki. Może po przeczytaniu jej wysiadłby w porcie nowojorskim jeszcze jeden z licznych już dziś przyjaciół Polski, która przez tyle wieków walczyła tak jak dziś walczy o „waszą i naszą wolność“. Może czarna ów Amerykanin zainteresowałby się chociażby „Testamentem“ Tadeusza Kościuszki?—

* * *

Rozmowa na statku była zaledwie przekąską do tego, czym nieraz mnie częstowano po wylądowaniu w Stanach Zjednoczonych. I chyba nietylko mnie jednego. Niekiedy bywałem świadkiem krzywdzących wprost afrontów wyrządzonych tam, gdzie najmniej bym się ich spodziewał. Razu pewnego znalazłem się w ogromnej sali bankietowej, udekorowanej chorągwiami. Celebrowano tam narody, walczące w tej wojnie z „osią“. O polskiej chorągwi zapomniano. Pamiętano wszakże o kolorach państw, które bez wystrzału poddały się najeźdźcy. A jednak ta właśnie, pominięta chorągiew nie powiewa w towarzystwie swastyki, lecz wszędzie ją widać gdzie żołnierz polski umiera za „wolność waszą i naszą“. Umieranie w dzisiejszych czasach nie czyni już na nikim wrażenia, a ludzie sądzą ludzi nie po tem jak umierają, lecz po tem jak żyją. Niczyjej sympatji gwałtem zdobyć nie można. Nie można jej nawet kupić. Przed tą wojną oficjalna nasza propaganda wydawała w t.zw. „świecie“ poważne sumy na zakup sympatji dla Polski kraju. Rezultaty były raczej mizerne. Na ogół umiano pozyskać dla Polski sfery reakcyjne, n.p. emerytowanych generałów francuskich. Za piękny order i tytuł prezydenta starcy ci byli skłonni wygłaszać toasty na cześć narodu, o którym prawie nic nie wiedzieli. W dawniejszych czasach, osobiście w XIX wieku było inaczej. Cieszyliśmy się nietylko sympatją, lecz i admiracją cywilizowanego świata postępu i rewolucji. Imię Polski łączono z każdą sprawą wolności i wyzwolenia. „Gli uomini liberi sono fratelli“—te słowa były wyszyte na rękawach żołnierzy z polskiej legji generała Buonaparte, w epoce wyzwolenia państw włoskich z pod opresji rodzimych tyranów. Dwadzieścia lat naszej, z takim trudem odzyskanej niepodległości, odmieniło stosunek świata demokratycznego na naszą niekorzyść. Byliśmy przez niektóre narody uważani za coś pośredniego między Węgrami a Rumunją. Przyczyną tego były sprawy, dokładnie w tej książce omówione. Często poznawano nas w „świecie“ z najmniej charakterystycznej dla nas strony. Zwłaszcza gdy reprezentowały nas doskonale uszyte ubrania, w których chodzili ugrzeczniejsi panicze, posiadający tę jedną chyba kwalifikację, iż guwernantki ich były rodowitami Paryżankami. Oczywiście do rozpowszechnienia antypatji do nas przyczynili się liczni a potężni wrogowie. Wykorzystując intelektualne znużenie powojennego świata oraz ignorancję, wrogowie Polski świadomie roztrąbiali wszystkie nasze grzechy i potknięcia. Rozsiane zaś po całym świecie ofiary naszych reakcyjnych i policyjnych reżymów oraz ofiary nędzy materialnej, szukające szczęścia poza krajem—też nie zjednywały popularności krajowi, gdzie n.p. Żyd mógł być ministrem pełnomocnym, lecz nie mógł być konduktorem tramwajowym lub listonoszem. Tak już bywa na świecie, że obmowa znajduje chętniejsze uszy ku słuchaniu, niż dobre słowo. Zwłaszcza o rzeczach cichych i trudnych. Tylko nieliczni fachowcy w obcym świecie umieli wysoko cenić n.p. polską matematykę, wspaniale się rozwijającą w ostatnim dwudziestolecu. Niewielu też zapewne zjadaczy preparatów witaminowych wie o tem, iż jednym z pierwszych odkrywców witamin był uczonej polski, Funk. Także szczepionkę przeciw tyfusowi plamistemu zawdzięcza ludzkość mojemu rodakowi ze Lwowa, prof. Weyglowi. Ratowała nas tylko sztuka. Amerykańscy

miłośnicy muzyki entuzjazmowali się wielu nazwiskami polskimi, których nie potrafili wymówić. Jedna Modrzejewska (po amerykańsku : Modjeska) i jeden Paderewski pozyskali nam więcej przyjaciół, niż całe ekipy specjalistów od propagandy.

To, co stanowi prawdziwą i wielką tradycję Polski, pięć wieków trwający wysiłek naszej myśli i walki o sprawiedliwość i godność człowieka—naogół nie jest znane naszym amerykańskim przyjaciółom. I dlatego niniejsza książka stanowi doniosły dokument, szczególnie w chwili obecnej, gdy waży się losy świata i losy ludzkiej wolności.

Sceptyczny czytelnik powie, iż mniej więcej każdy naród, każda społeczność choćby najbardziej zacofana i obskurancka, może się poszczycić wybitnymi jednostkami, które były w opozycji do niej i płynęły przeciw prądowi, poświęcając życie za wzniosłe i samotne idee. Powie sceptyk, że w literaturze i publicystyce każdego narodu znaleźć można dokumenty, świadczące o wielkiej odwadze i szlachetności ich twórców. Ale twórcy—to nie naród, a zwłaszcza nie administracja życia państwowego.—Wolimy—powie taki sceptyk—narody o nieciekawej i społecznie bezbarwnej literaturze, narody, których życie było tak dobrze urządzone, iż zbyteczną była u nich wszelka walka i upominanie się o reformę warunków bytu i niepotrzebna była wszelka myśl rewolucyjna. To prawda. Im lepsze życie jakiegóż narodu, tem uboższa jest jego literatura buntownicza. Miłośnicy faktów, a nie—słów, mogą zakwestjonować wartość wszelkich pism wojujących o lepszą przyszłość ludzkości. Wskażą na całe biblioteki pełne wspaniałych projektów przerobienia ziemi na raj, a któremi to projektami można wybrukować piekło. Tym ludziom pozwolimy sobie przypomnieć pierwszy werset Ewangelji św. Jana : „Na początku było Słowo”.

A jeżeli to, co teraz się dzieje jest końcem, końcem starego świata, to i przy końcu będzie Słowo i Słowo świat ten odnowi, wybawi, lub zgubi. Słowo rodzi miłość i zapładnia nienawiść. Ze słów powstały armaty, czołgi i wszelka zagłada. Ufajmy, że i ze słów powstanie nowe życie.

Gorące słowa tej książki, z których niejedno potwierdziły czyny na miarę bohaterską, głoszą prawdę o tej Polsce właśnie, która z tej wojny pragnie wyjść odrodzona, odnowiona i uszlachetniona. Z książki tej przemawia bardzo stara tradycja wolnościowa i równie stara tolerancja. Złymi Polakami byli ci, którzy to piękne dziedzictwo zdradzili lub zaprzepaścili. Bojownicy o wolność Polski i o sprawiedliwość społeczną byli zapatrzeni w lud, wiejski i robotniczy, w ten niezniszczalny rezerwuar siły i pracy, walki i poświęcenia. Ten lud jest naszą nadzieją szczęśliwej przyszłości, a ta książka, obrazująca na przestrzeni kilku stuleci walkę o sprawiedliwość i światło w Polsce wolnej i w Polsce ciemnionej—tętni miłością ludu. Długo lud polski był wielkim niemową. Lecz gdy przemówił, z ust jego zaczęły padać pioruny.

Ta książka jest jakgdyby panoramą prawdy, jaką przed stu z górą laty wypowiedział największy polski poeta i wielki rewolucjonista europejski, Adam Mickiewicz :

„Nasz naród jak lawa :

Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa,
Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi,
Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi“.

EUROPA ŚRODKOWA I POŁUDNIOWO-WSCHODNIA A KLAUZULA 5 KARTY ATLANTYCKIEJ.

Zaden trwały porządek międzynarodowy nie jest możliwy bez zabezpieczenia jego podstaw gospodarczych. Mogło się dawniej wydawać niekiedy, że zagadnienia międzynarodowej współpracy politycznej mogą być rozwiązywane niezależnie od zagadnień gospodarczych. Pogląd ten okazał się w okresie między pierwszą a drugą wojną światową błędny. Jakikolwiek były przyczyny załamania gospodarczego rozpoczętego w latach 30tych, pewne jest, że ułatwiło ono bardzo zadanie agresorom, osłabiając niejedną naród w stosunku do napastników. Przyszła trwała organizacja pokojowa świata będzie zapewne miała odrębne instrumenty i osobne metody działania w zakresie spraw politycznych i gospodarczych. Jednak wszystkie czynniki powojennej współpracy międzynarodowej muszą mieć zawsze na uwadze, że świat miotany wstrząsami gospodarczymi, pozostawiony w stanie gospodarczej niepewności, miałby jeszcze mniej szans przetrwania w pokoju, niż świat, który wyszedł z wojny lat 1914-1918.

Gospodarka międzynarodowa jest gospodarką światową. W Kartce Atlantyckiej (klauzula 5) przyrzeczono „najpełniejszą współpracę pomiędzy wszystkimi narodami na polu gospodarczym, a to celem zapewnienia wszystkim lepszych warunków pracy, postępu gospodarczego i pewności jutra“. Jednocześnie jednak winien nastąpić taki wysiłek, aby wyciągając właściwe wnioski z doświadczeń niedawnej przeszłości, uniemożliwić państwom agresorskim wykorzystanie ich przewagi gospodarczej, zaś narody, które były ofiarami agresji umocnić na przyszłość także i gospodarczo. Tym samym wymaga rozwiązania szereg problemów, wynikających z centralnego położenia Niemiec w Europie, ich siły ludnościowej i ich siły produkcyjnej, rozwiniętej zwłaszcza w okresie po roku 1871.

Cechą znamioną okresu między dwiema wojnami (1919-1939) była rosnąca coraz to bardziej rozpiętość pomiędzy rozwojem gospodarczym kontynentu europejskiego a jego rzeczywistością polityczną. Nie wdając się w szczegóły, można dziś stwierdzić, że liberalizm gospodarczy istniejący w obrotach międzynarodowych przed rokiem 1914 naogół szedł w parze z t. zw. „równowagą sił“ na kontynencie, natomiast rozwój wydarzeń po roku 1919 wykazał z jednej strony niepodobieństwo powrotu do liberalizmu w obrotach handlowych, a z drugiej strony całkowite odbiegnięcie od równowagi sił w zagadnieniach politycznych.

W miejsce politycznego i gospodarczego systemu powszechnej europejskiej równowagi sił (równowagi zresztą bardzo chwiejnej, bo... zakończonej wojną światową, a dla nas o tyle bolesnej, że jednym z jej elementów było poćwiartowanie Polski), pojawiły się rosnące coraz to bardziej dążności autarchiczne na terenie gospodarczym oraz rozwijanie się Niemiec w potęgę zmierzającą do zdobycia hegemonji na kontynencie.

Hegemonję tę usiłowały Niemcy osiągnąć przede wszystkim przez podporządkowanie sobie obszarów wschodnich Europy. Istotnie tam najłatwiej mogły one zapewnić sobie autarchię w zakresie artykułów żywnościowych, a zarazem pokryć wielką część swego zapotrzebowania surowcowego. W gospodarce niemieckiej, poddanej bardziej względem militarnym niż czysto ekonomicznym, podporządkowanie sobie tych obszarów tem większą przedstawiało korzyść, ile że znajdowały się w orbicie bezpośredniej potęgi wojskowej niemieckiej (Machtbereich). Tem samym wykorzystanie tych obszarów mogło się dokonywać bez obawy odcięcia

ich przez ewentualną akcję floty brytyjskiej lub amerykańskiej, co było wielkim minusem wszystkich posiadłości kolonialnych drugiej Rzeszy.

Stąd oczywiste znaczenie obszarów położonych bezpośrednio na Wschód od Rzeszy dla każdej próby ustanowienia systemu bezpieczeństwa europejskiego. Obszary te zwiemy tu „Europą środkową i południowo-wschodnią“. Faktycznie pozostawały one do tej pory na marginesie światowych obrotów gospodarczych. Znajdując się w bezpośrednim sąsiedztwie siły agresorskiej, dzięki korzyściom jakie mogła ona (i mogłaby z nich w przyszłości) wyciągnąć, uzyskały *pięrow szorzędne* znaczenie dla uporządkowania zagadnień bezpieczeństwa europejskiego, znacznie daleko przekraczające ich znaczenie gospodarcze z przed roku 1939. I doprawdy, gdyby w przyszłym ładzie europejskim Niemcy miały mieć możność przeobrażenia tych obszarów — czy to w drodze siły, czy to w drodze pokojowej penetracji gospodarczej — na swój obszar życiowy (Lebensraum), mający wszelkie znamiona dominacji kolonialnej, to tem samem mogłyby Niemcy zawsze bez trudu wszcząć na nowo politykę autarchji gospodarczej i przygotować raz jeszcze nową agresję.

Statut gospodarczy obszarów Europy środkowej i południowo-wschodniej jest zatem kluczem do politycznego bezpieczeństwa całej Europy. Od tego do statutu zależy, czy gospodarstwo niemieckie będzie miało nadal orientację kontynentalną, czy też — zgodnie z potrzebami pokoju światowego — skieruje się ku obrotom międzynarodowym i międzykontynentalnym.

Problem ten musi być tak rozwiązany, aby także ludności Niemiec zabezpieczyć to samo, co w klauzuli 5ej przyrzeka Karta Atlantycka wszystkim narodom bez wyjątku. Jednak zabezpieczenie „pewności jutra“ Niemcom musi być dokonane w taki sposób, by inne narody korzystały zarówno z politycznego jak i społecznego bezpieczeństwa w możliwie najpełniejszym stopniu, innemi słowami, aby „social security“ nie była przywilejem Niemiec na koszt innych narodów, jak to było celem polityki i gospodarki niemieckiej w ostatnich latach i obecnie.

Zacznijmy od mechanizmu, któryby umożliwił funkcjonowanie klauzuli 5 Karty Atlantyckiej. Wyraża ona „pragnienie doprowadzenia do jak najpełniejszej współpracy pomiędzy wszystkimi narodami na polu gospodarczem“. Winno to być rozumiane w ten sposób, że przyszła współpraca gospodarcza powinna obejmować *wszystkie* — o ile możności — bez wyjątku kraje świata. Gospodarka naszych czasów jest już od dość dawna gospodarką światową, przedewszystkiem dzięki ogromnemu rozwojowi środków komunikacyjnych. Szczególnie gospodarka surowcami jest możliwa tylko w skali światowej. Nacjonalizm gospodarczy okazał się zgubny. Przyszła władza międzynarodowa (poniekąd, zapowiada ją klauzula 8 Karty Atlantyckiej słowami „ . . pending the establishment of a wider and permanent system of general security“) musi posiadać zatem odpowiednie ciała zajmujące się gospodarką światową.

Międzynarodowa organizacja życia gospodarczego winna m. in. zmierzać do usunięcia szkodliwego braku równowagi pomiędzy gospodarką Niemiec a gospodarką innych krajów europejskich. Kraje te, a zwłaszcza kraje położone na wschód od Niemiec, nie mogą na przyszłość odgrywać roli gospodarstw komplementarnych, a więc zależnych od Niemiec. Zależność gospodarcza musi bowiem przerodzić się w zależność polityczną, a wtedy — jak słusznie zauważono jeszcze przed wybuchem wojny obecnej — „skonsolidowane pod hegemonią niemiecką terytorjum na Wschodzie rzuciłoby się, po dokonanych skonsolidowaniu, całą swą siłą przeciw Anglii“. Cel ten próbują Niemcy osiągnąć obecnie, i nie można dopuścić, by cel ten innemi metodami mogły urzeczywistnić po tej wojnie. Oznaczałoby to bowiem wizję trzeciej wojny światowej. Każda forma zorganizowania wyodrębnionej gospodarki europejskiej musi prowadzić do odnowienia się niemieckiej tendencji opanowania gospodarczego reszty Europy jako

rynku zbytu, rezerwuaru surowcowego i rolnego oraz rezerwuaru rąk roboczych. Łącznie z przeobrażeniami strukturalnymi wewnątrz gospodarki niemieckiej (na pierwszym miejscu należy tu wymienić problem niemieckiego ciężkiego przemysłu zbrojeniowego). Niemcy muszą zostać związane z gospodarką światową w takich formach i w takim stopniu, by ich preponderancja gospodarcza w Europie (zwłaszcza środkowej i wschodniej) przestała być odczuwana. Jednocześnie muszą być wzmocnione gospodarczo te kraje Europy, które dotychczas odczuwały swą słabość i zależność w stosunku do Niemiec. W ten sposób przywrócona równowaga gospodarcza stać się winna poważnym czynnikiem pokoju światowego, odbierając Niemcom gospodarcze podstawy ich przewagi nad sąsiednimi krajami. Dzieło to musi być dla różnych przyczyn dokonane odpowiednio szybko.

Warto również wspomnieć, że o niebezpieczeństwie konsolidacji niemieckiej na terenach wschodniej Europy mówi kanadyjski historyk Lionel Gelber w artykule, ogłoszonym w „*The Fortnightly Review*” (Londyn, marzec 1938). Oto najistotniejsza część wywodów Gelbera: „Wielka Brytania . . . odsuwając chwilowo jedno niebezpieczeństwo, stworzyłaby niebezpieczeństwo inne, ostatecznie bardziej jeszcze śmiertelne. Po przyznaniu im wolnej ręki w Europie środkowej i wschodniej. . . Niemcy mogłyby zbudować potęgę tak bezmierną i tak nie do odparcia, że z kolei Zachód zdany byłby całkowicie na ich łaskę”.

Gospodarka światowa musi być w pewnym sensie *planowana*, o ile nie tylko ma być przywrócona światowa wymiana dóbr, ruch kredytów i migracja, ale o ile zarazem ma być wyeliminowana konkurencja, która tyle szkód wyrządziła gospodarstwu światowemu w ostatnich latach. Światowe planowanie gospodarcze musi być oparte na podstawach badania naukowego, musi być dostatecznie elastyczne i winno wykreślać wytyczne funkcjonowania mechanizmu gospodarki światowej, pozostawiając możliwie najwięcej swobody w stosunkach gospodarczych między poszczególnymi narodami oraz pozostawiając wyłącznie planowaniu europejskiemu, regionalnemu lub narodowemu te dziedziny gospodarki, które nie wymagają regulowania w skali światowej.

Wyliczając cele przyszłej gospodarczej współpracy międzynarodowej, „Karta Atlantycka” ustala je jako (a) lepsze warunki pracy, (b) postęp gospodarczy oraz (c) społeczną pewność jutra. Rozpocznię od tego ostatniego.

“SOCIAL SECURITY”

Epoka nasza jest epoką szybko upowszechniającego się wyższego poziomu potrzeb w dziedzinie kultury materialnej i duchowej. Jest to istotna cecha prawdziwej cywilizacji powszechnej. Wprawdzie różnice między poszczególnymi narodami w odczuwaniu poszczególnych potrzeb są jeszcze wielkie i różnice te pozostaną przez długi zapewne okres czasu. Ich zniesienie następować będzie tylko stopniowo, jednak pomiędzy narodami cywilizowanymi postęp ten odbywa się w naszych czasach bardzo szybko. Posiadanie maszyny do szycia, aparatu radiowego, albo roweru stało się potrzebą tak samo mieszkańców wschodnich kresów Europy, jak i Europy Zachodniej. Raz obudzone potrzeby domagają się zaspokojenia i muszą wreszcie być zaspokojone. Lecz to upowszechnianie się kultury i cywilizacji stwarza jednocześnie wielkie możliwości produkcyjne. Pojęcie „social security” ma obecnie w różnych krajach różną treść. Jeśli np. uznamy, że każdy człowiek ma prawo do dachu nad głową, to trzeba także dać odpowiedź, jakie to ma być mieszkanie i z ilu izb ma się składać jako minimum. Minimum to zapewne będzie różne dla W. Brytanii i dla Rumunii, a podobnie różne będą rodzaje i minimum odzieżowe, żywnościowe, opałowe i rozrywkowe w różnych krajach. Minima te powinny być co

roku lub co kilka lat określane i ustalane, i one to powinny być punktem wyjścia całej przyszłej powojennej działalności gospodarczej.

Istnieje bowiem jeden tylko sposób zorganizowania życia gospodarczego takiego, które zapewni postęp gospodarczy, t.j. zaspokojenie potrzeb konsumpcyjnych najszerzych warstw ludności. Potrzeby te mają charakter dóbr spożycia indywidualnego; albo urządzeń użyteczności publicznej takich jak szkoły, szpitale i komunikacje; wreszcie nie mogą być pominięte potrzeby w dziedzinie uzbrojenia dla uniemożliwienia prób nowej agresji. Istnieje oczywista konieczność odpowiedniej równowagi pomiędzy temi grupami potrzeb. Ta możliwość równowagi nastąpi, gdy ciężar mechanizmu bezpieczeństwa zbiorowego zostanie odpowiednio rozłożony, t.j. gdy nawet małe państwa nie będą musiały przeznaczać ogromnej części swego dochodu narodowego na przygotowania obronne, niemożliwe w naszych czasach do rozwiązania w granicach jednego tylko kraju. Jako główny konsument winien więc w przyszłości pojawiać się nie aparat wojskowy, morski czy lotniczy ale poszczególna jednostka ludzka. Konsumentem wartościowym może ona być tylko wtedy, gdy będzie jednocześnie i pełnowartościowym producentem, zatrudnionym i pracującym.

POSTĘP GOSPODARCZY

Mówi się często, że zdolność produkcyjna została dzięki wynalazkom i postępowi technicznemu podniesiona w naszych czasach do rozmiarów niebywałych i nieoczekiwanych. Jest to w dużej mierze prawda, aczkolwiek postęp techniczny wcale jeszcze nie uległ zamknięciu. Rozpatrując jednak kraje Europy ujrzymy ogromną rozpiętość w ich istniejącej zdolności produkcyjnej. Im dalej posuwamy się z Zachodu na Wschód, tem większą widzimy ratę przyrostu naturalnego—i tem większą liczbę rąk, gotowych do pracy, lecz nie zatrudnionych lub nie zatrudnionych w pełni. W tym samym kierunku i w takim samym stopniu maleje też poziom techniczny produkcji. Francis Delaisi przeciągnął był linię od Gdańska na południe, i Europę leżącą na zachód od tej linii nazwał Europą konia parowego, zaś leżącą na wschód od niej—Europą konia pociągowego. Poczucie potrzeb kultury i cywilizacji nowoczesnej jest w tej drugiej Europie równie silne, jak niemożność ich zaspokojenia. Oto, na dziesiątki lat olbrzymi rynek zbytu, około 130 milionów konsumentów, przygotowanych na wchłonięcie wszystkiego, wartościowego, co przynosi życie współczesne.

Rozwiązanie, polegające na dalszym podniesieniu produkcji krajów już uprzemysłowionych, aby zaspokoić potrzeby Europy środkowej i wschodniej, jest zbyt proste, by mogło być skuteczne. Narzędzia produkcji, np. obrabiarki, przez długi jeszcze czas będą przez Europę B—jak ją nazwał Delaisi—nabywane w Europie A, a tak samo niektóre towary, w których wytwarzaniu poszczególne kraje zachodnie są wybitnie wyspecjalizowane. Lecz konsument, który sam nie pracuje i nie produkuje, nie może być wartościowym konsumentem. To też postęp gospodarczy świata wymaga w interesie całości międzynarodowego życia gospodarczego, by Europa środkowa i wschodnia szybkim krokiem posunęła się gospodarczo naprzód. Jeżeli zatem na zachodzie Europy zagadnienie nakreślone w klauzuli 5 Karty Atlantyckiej polega przedewszystkiem na lepszym zorganizowaniu podziału dochodu społecznego, to w Europie środkowej i wschodniej istota zagadnienia polega *ponadto* na podniesieniu dochodu społecznego, przedewszystkiem przez podniesienie produkcji. Przykład Rosji, poczynając od r. 1927 dowodzi, że w wyjątkowo pomyślnych warunkach posiadania potrzebnych surowców, podniesienie produkcji może być dokonane izolowanemi siłami, chociaż także i w przykładzie Rosji, byłoby prawdopodobnie lepiej tak dla Rosji, jak i dla otaczającego świata, gdyby ten ogromny wysiłek nie był wykonywany w izolacji. Mógłby on być wykonany w takim wypadku bez ogromnych poświęceń ze strony ludności Rosji. Inne

kraje w żadnym wypadku nie będą chciały i nie będą mogły podnosić swej produkcji przez odosobniony wysiłek i muszą one uzyskać wszelką potrzebną pomoc w tym zakresie. W samej tylko dziedzinie rolnictwa, w której kraje te mają wszelkie dane do odegrania bardzo pożytecznej roli w gospodarce europejskiej, produkcja ich może być powiększona bardzo znacznie. Nawet jednak i w tym wypadku demografia tych krajów wymagać będzie głębszych strukturalnych przeobrażeń gospodarczych, idących w kierunku uprzemysłowienia oraz wielkich robót publicznych. W jaki sposób może to być osiągnięte ?

PLANOWANIE

Gospodarka przedwojenna, jak mi się wydaje, posiadała dwie główne cechy: (1) była ona anarchiczna t.j. oparta na konkurencji, dokonywanej przy pomocy różnych instrumentów (dumping eksportowy i dumping socjalny), (2) w ostatnich latach autarchja, z wszystkimi jej akcesorjami (wysokie cła ochronne, restrykcje dewizowe, kontyngenty i handel wymienny, itd.) rujnowała gospodarkę wewnętrzną, obniżając poziom życiowy szerokich mas i niszcząc tym samym konsumenta wewnętrznego. Autarchja rujnowała ponadto wymianę międzynarodową i niszczyła spożycie w skali międzynarodowej. Jedno i drugie obniżało w ostatecznym wyniku produkcję, z wyjątkiem jednej tylko produkcji zbrojeniowej w państwach agresorskich. W ten sposób Niemcy zlikwidowały swe bezrobocie i przygotowały drugą wojnę światową.

Wprawdzie gospodarstwa autarchiczne były także w pewnym sensie gospodarstwami planowanymi. Z samej natury gospodarki autarchicznej wynikało atoli, że było to planowanie zamknięte w granicy jednego tylko kraju a zatem w następstwach szkodliwe dla całości gospodarstwa światowego, jednocześnie; było to planowanie mające na celu nie zaspokojenie potrzeb najszerzych mas spożywców, lecz produkcję sprzętu zbrojnego i przygotowanie się do wojny. Tego rodzaju planowanie, być może celowe z punktu widzenia jednego tylko kraju i jego potrzeb wojennych, było oczywiście szkodliwe z punktu widzenia potrzeb gospodarki światowej oraz pokoju świata i nie może być na przyszłość zalecane.

Planowanie, którego potrzebę tu wskazuję winno mieć na celu: (a) potrzeby gospodarki światowej w tym samym stopniu, co potrzeby państw narodowych, (b) zaspokojenie potrzeb konsumpcyjnych i podnoszenie poziomu życiowego najszerzych mas ludności. To znaczy, musi ono zmierzać do wykorzystania pełnej zdolności produkcyjnej tam gdzie osiągnęła ona właściwy poziom, a do jej wzmożenia tam gdzie poziom ten nie został jeszcze osiągnięty. Potrzebom tym winno być wszystko inne podporządkowane. Planowanie takie nie może tym samym spocząć w rękę samych tylko t.zw. „sfer gospodarczych“, które w niektórych gałęziach produkcji w ubiegłych latach zorganizowały się w skali światowej i zastosowały rodzaj planowania, określając roczne kwoty produkcji, dla poszczególnych krajów na poziomie bardzo odległym od zaspokojenia potrzeb konsumpcji i utrzymania produkcji (cukier). Planowanie światowe, zarówno europejskie, jak regionalne, albo narodowe musi być stanowione i kontrolowane przez odpowiednie przedstawicielstwa ogólnoludzkich albo ogólnoeuropejskich, albo regionalnych, albo ogólnonarodowych interesów.

Planowanie to byłoby częściowe i sprzeczne z równowagą życia gospodarczego, gdyby obejmowało tylko niektóre gałęzie gospodarki. Winno ono obejmować zarówno produkcję przemysłową, jak i produkcję rolną, dystrybucję i transport. Winno ono regulować nie tylko wymianę towarów między poszczególnymi narodami, ale także wymianę kredytów. Dla różnych przyczyn niemożliwe a nawet szkodliwe wydaje się przejście do zupełnie samoczynnego funkcjonowania światowej wymiany gospodarczej: np. pełna swoboda ruchów migracyjnych, taka jaka panowała mniej

więcej do pierwszej wojny światowej jest na przyszłość trudna do pomyślenia, ale wobec tego kraje o wielkim przyroście naturalnym, winny uzyskać kompensatę w postaci zwiększonego dopływu kredytów inwestycyjnych oraz możliwości zbytu dla swych produktów. Wszystkie te problemy mogą być skutecznie rozwiązywane tylko w drodze planowania międzynarodowego, opartego na ścisłych podstawach naukowych, przy jednoczesnym uwzględnieniu tych konieczności, jakie wynikają z potrzeby gospodarczego uniemożliwienia agresorom nowej wojny i wzmocnienia gospodarczego państw, które okazały się istotnie wartościowe dla funkcjonowania wolności i pokoju w świecie.

Światowy plan gospodarczy wymaga z kolei planów dla poszczególnych części gospodarczych. Plany te winne (a) być bardziej w szczególności opracowane z zastosowaniem planu światowego do odnośnego terytorjum, (b) samoistnym planem w tych dziedzinach, którymi plan światowy niema potrzeby się zajmować. Dla przykładu możnaby przytoczyć, że produkcja i dystrybucja ropy, kawy, bawełny winna być przedmiotem planu światowego, gospodarka siłą i światłem oraz budowa dróg lądowych i wodnych, przedmiotem planu europejskiego, budownictwo mieszkaniowe—przedmiotem planów narodowych.

Pod względem organizacyjnym zagadnienia międzynarodowego życia gospodarczego wymagają utworzenia osobnego ciała kierowniczego w przyszłej władzy międzynarodowej. Ciało to powinno posiadać przynajmniej: (a) centralny wydział planowania oraz (b) centralny wydział kredytów, wraz z Międzynarodowym Bankiem Inwestycyjnym.

REJON CENTRALNO—I WSCHODNIO-EUROPEJSKI

Osobnego rozważenia wymagają problemy tych rejonów, których nieodzowną potrzebą jest stworzenie nowych możliwości pracy, celem zapewnienia odnośnym narodom pewności jutra (social security), jakich były w ostatnich czasach pozbawione. Rejonem takim jest rejon środkowej i wschodniej Europy. Wszystkie te kraje jak Polska, Czechosłowacja, Węgry, państwa bałtyckie, Rumunia i inne państwa bałkańskie przedstawiają mniej więcej podobny typ zagadnień gospodarczych i społecznych. Ich potrzeby są również mniej lub więcej podobne. Ich upośledzenie w stosunku do Niemiec polegało na tem, że Niemcy starały się zawsze zepchnąć je do roli wyłącznie producentów rolniczych i surowcowych a obecnie także do roli rezerwuaru rąk roboczych. Stanowiąc pewną podobną całość gospodarczą, wszystkie te kraje leżące pomiędzy Rosją a Niemcami powinny do pewnego stopnia wspólnie rozwiązywać swe zagadnienia gospodarcze, posiłkując się przytem planem gospodarczym dla całego tego regionu, którego potrzeby winny znaleźć uwzględnienie w planie ogólnoswiatowym i europejskim, a wykonanie także w poszczególnych planach narodowych.

Wspólnem dla całego regionu tego jest zagadnienie produkcji rolnej. Wszystkie te kraje mają oddawną naturalną tendencję do oparcia się na typie gospodarstw chłopskich, średnich i drobnych, co zapewnia im zdrowe stosunki społeczne. Proces ten będzie prawdopodobnie przebiegał w dalszym ciągu, nie wykluczając Węgier, gdzie był do tej pory hamowany. Reformę rolną w tych krajach upraszczano, jako wyłącznie zagadnienie podziału wielkiej własności ziemskiej. Lecz jest to problem bardziej złożony, obejmujący ponadto:

- (a) komasację działek,
- (b) meljoracje rolne, wodne i drogowe,
- (c) większe zastosowanie nawozów sztucznych, maszyn i elektryczności w rolnictwie,
- (d) specjalizację w produkcji, a to gospodarkę warzywną i sadowniczą, mleczną i hodowlaną.

Program ten wymaga z jednej strony dogodnych kredytów krótko-średnio- i długoterminowych dla gospodarstw włościańskich, z drugiej zaś strony pomocne będą bardzo spółdzielnie maszynowe oraz spółdzielnie producentów, które tak bardzo przyczyniły się do podniesienia poziomu drobnego rolnictwa w Danii. Wreszcie, dla pewnego uniezależnienia rolnictwa zarówno od klęsk naturalnych, jak od ogólnych kryzysów gospodarczych, rozważenia godne jest wprowadzenie monopolu zakupu produktów rolnych, wzorem Czechosłowacji, Francji; przyczym do rozważenia byłoby wprowadzenie monopolu, obejmującego cały rejon centralno- i wschodnio europejski. W tym wypadku monopol ten mógłby zorganizować sprzedaż produktów rolnych do krajów bardziej uprzemysłowionych, eliminując szkodliwą konkurencję pomiędzy poszczególnymi krajami produkującymi, standaryzując eksport i.t.d.

Podniesiona produkcja rolna w Europie środkowej i wschodniej znajdzie swój rynek zbytu przede wszystkim w rynku wewnętrznym, dalekim do tej pory od nasycenia. Jest mało prawdopodobne, by stworzyć ona mogła zaburzenia na rynkach międzynarodowych, stwarzając wielką konkurencję dla zachodnio-europejskich i zamorskich; z jednej bowiem strony będzie ona musiała zaspokoić wzmożoną—przy podniesionej stopie życiowej—konsumpcję miejscową, z drugiej strony na rynkach światowych istnieją wielkie jeszcze możliwości dla zbytu bekonów, warzyw, owoców, z krajów tego rejonu.

W tem miejscu zaznaczyć należy, że problemy rolnictwa w tym rejonie muszą być uwzględnione w sposób odmienny niż to się stało w Rosji. Przede wszystkim uwzględnić należy nieprzezwyciężone przeszkody natury psychologicznej—chłop polski lub czeski jest niezmiernie mocno przywiązany do formy własności prywatnej w swem gospodarstwie. Przewyciężanie tego przywiązania byłoby gospodarczo nietylko niepotrzebne ale i szkodliwe. Stosunkowo szczupły zapas ziemi w stosunku do liczby ludności zmusza w tym rejonie do położenia nacisku na gospodarkę hodowlaną i większą specjalizację w produkcji, czemu gospodarka kolektywna wybitnie nie sprzyja. Należy również przypomnieć, że korzyści techniczne uprawy przy pomocy traktorów oceniano w sposób przesadny o ile chodzi o rejonny o łagodnym klimacie i produkcji mniej jednolitej (Zobacz: Doreen Warriner: *“Eastern Europe after Hitler,”* str. 10-12 (Fabian Society, Research Series No. 50) oraz Doreen Warriner: *“The Problem of the Peasant Countries in Eastern Europe”*) *“The Left News,”* No. 66).

Zagadnienie intensyfikacji rolnictwa w obszarze Europy środkowo-wschodniej rozwiązać nie może podstawowej sprawy podniesienia poziomu życia ludności tych obszarów. Obszar ten, zresztą jakkolwiek ustępujący z natury rzeczy bardzo intensywnym gospodarstwom środkowo-europejskim (Niemcy specjalnie pod osłoną autarchii podniosły bardzo silnie w ostatnim dziesięcioleciu wydajność z hektara), przewyższa nie mniej jednak znacznie pod względem wydajności już i teraz zarówno kraje rolnicze zamorskie, jak i Związek Sowiecki. Tak np. posiadając wydajność dziesięciu do czternastu kwintali pszenicy z ha i 8, 4 do 12,4 kwintali żyta, przewyższa on zbiory zamorskie (8, 2 do 9, w pszenicy wydajności Z.S.R.R. Polska specjalnie z wydajnością 112 kw. z ha ziemniaków przewyższa znacznie wydajność 72 kw. z ha w Stanach Zjednoczonych oraz 79 kw. ha w Z.S.R.R. Innemi słowy, marzą na zwiększenie wydajności rolnictwa Europy środkowo-wschodniej jest w zakresie głównych artykułów roślinnych stosunkowo mniejsza, niż w innych krajach rolniczych.

Również trudno byłoby oczekiwać zwiększenia produkcji rolnej na głowę ludności przez zwiększenie obszaru uprawy. Przeciętny procent użytków rolnych (grunty orne i łąki) w stosunku do całości powierzchni wynosi w siedmiu krajach Europy środkowo-wschodniej (Estonja, Węgry, Łotwa,

Litwa, Polska, Rumunia, Jugosławia) około 65%, podczas gdy w Niemczech wynosi on 61%, w Austrii 52%, a we Francji 63%. W Wielkiej Brytanii udział gruntów ornych do wybuchu wojny wynosił zaledwie 21%. Jeśli nawet przyjąć by możliwość rozszerzenia tych powierzchni w Europie środkowo-wschodniej, to mieć by to nie mogło poważniejszego wpływu na zwiększenie produkcji na głowę.

Wynika to z faktu, iż ilość ludności rolniczej na tym obszarze jest tak wielka, że rolnictwo nawet przy silnym zintensyfikowaniu i ewentualnie rozszerzeniu powierzchni uprawy nie da nigdy podniesienia poziomu życiowego dla *całej* ludności rolniczej tych obszarów. Gęstość ludności rolniczej na 100 ha użytków rolnych wynosiła mianowicie 98 głów w Bułgarii, 79 w Polsce, 68 na Węgrzech, 67 na Litwie, itd. podczas gdy np. w Belgii wynosiła ona 43, a we Francji 33. Zarówno w miarę intensyfikacji produkcji mleczno-hodowlanej jak i produkcji zwierząt na opas, zatrudnienie w rolnictwie nie będzie nietylko się zwiększać, ale ulegnie zmniejszeniu. W wyniku tego np. w krajach o silnym przeludnieniu rolniczym (jak w Polsce) ilość zbędnych w rolnictwie rąk do pracy będzie się jeszcze zwiększała, powiększając tem samym jeszcze silniej istniejący niedostatek.

Z tych powodów jedyną możliwością podwyższenia poziomu życiowego szerokich mas ludności tych krajów (o ile odrzucimy wątpliwy do zrealizowania w dzisiejszych czasach i niesłuszny w zasadzie z punktu widzenia narodowego postulat masowej emigracji ludności rolniczej z tych krajów) jest skierowanie *bardzo znacznych* ilości ludności ku zatrudnieniom innym niż rolnictwo. Wynikający stąd postulat częściowej (ale dość daleko posuniętej) zmiany struktury gospodarczej tych krajów z rolniczej na mieszaną—mniej lub więcej przemysłowo-rolniczą—jest niezbędnym warunkiem ich podniesienia gospodarczego i wciągnięcia tem samym całego obszaru do obrotów międzynarodowych, w stosunku do których znajdował się on dotychczas raczej na marginesie.

Jeżeli nawet rolnictwo może znaleźć planowe rozwinięcie swych potrzeb w ramach gospodarstw narodowych, to inwestycje przemysłowe znajdą napewno lepsze rozwiązanie w granicach całego tego rejonu. Wprawdzie przemysł budowlany lub spożywczy będzie nieodzownie potrzebny w każdym z tych krajów z osobna, a niektóre przemysły surowcowe nakazane są przez przyrodę samą (naftowy w Rumunii i w Polsce, węglowy w Polsce i Czechosłowacji, cynkowy w Polsce, drzewny w wielu z tych krajów). Inne gałęzie przemysłu jednak, jak przemysł mechaniczny albo chemiczny winny być rozmieszczone planowo w poszczególnych krajach tego rejonu, uwzględniając istniejące już dawniej osiągnięcia. I tak przemysł samochodowy może być skoncentrowany w Czechosłowacji, przemysł lotniczy w Polsce itd. Takie celowe wyeliminowanie konkurencji będzie z pożytkiem i dla odnośnego rejonu samego i dla całości gospodarki światowej. Uprzemysłowanie rejonu środkowo—i wschodnio europejskiego rozwiąże potrzebę umieszczenia w pracy produktywnej ludności tego obszaru, łącznie z podniesieniem produkcji rolnej. W ten tylko sposób ta część Europy stanie się pełnowartościowym i pożytecznym uczestnikiem międzynarodowego życia gospodarczego i jako producent i jako konsument.

Lepsze warunki pracy są koniecznością trwałego ładu gospodarczego, przede wszystkim dla wzmocnienia masowego konsumenta. Są one jednocześnie konieczne jeżeli zniknąć ma bezrobocie, które w latach 30^{ych} stało się takim nieszcześnie ludzkości. Nie byłoby najmniejszego sensu sztucznie wstrzymywać postęp techniczny, aby tą drogą zapewnić zatrudnienie większej liczby ludzi, przy niższej stopie życiowej. Możliwy jest bowiem jednocześnie i postęp techniczny i pełne zatrudnienie wszystkich potrzebujących pracy. Warunkiem po temu jednak jest skracanie czasu pracy i inne reformy socjalne, podwyższenie górnej granicy wieku obo-

wiązku szkolnego i obniżenie wieku uprawniającego do zaopatrywania starych. Te trzy podstawowe oraz inne reformy mogą działać tylko wtedy, jeżeli przeprowadzone są równocześnie w skali międzynarodowej.

Zagadnienia przyszłego planowania gospodarczego łączą się w wysokim stopniu z zagadnieniami lepszych warunków pracy. Wymagać to będzie ściślejszej współpracy zwłaszcza centralnego wydziału planowania władzy międzynarodowej z Międzynarodową Organizacją Pracy. Oceniając doświadczenia minionych 20 lat, stwierdzić musimy, że Międzynarodowe Biuro Pracy w Genewie (obecnie w Montrealu) okazało się instytucją o wielkiej użyteczności, zarówno co do swego mechanizmu, jak i co do zakresu reform, jakie osiągnęło. Odbyta w październiku—listopadzie 1941 w Nowym Jorku Konferencja Międzynarodowej Organizacji Pracy przy udziale 34 państw wykazała, że z instytucją tą łączone są w świecie nadal duże nadzieje.

Ostatnie dziesiątki lat przyniosły nie tylko dość powszechne zrozumienie konieczności postępu socjalnego, ale także wzmocnienie się świadomości robotników. Rozwój ten leży całkowicie na linii prawdziwej i pełnej demokracji. Lepsze warunki pracy główną gwarancją swojej trwałości i skuteczności winny mieć nie tylko w dobrej woli pracodawców i w państwach państwem, ale także—może nawet przedewszystkiem—w swobodnych organizacjach robotniczych. Rola związków zawodowych w zawieraniu układów zbiorowych pracy, w trosce o higienę i bezpieczeństwo pracy, w kierowaniu instytucjami ubezpieczeń społecznych i pośrednictwa pracy, będzie niewątpliwie wzrastała, dopomagając do przeświadczenia, iż robotnicy są nie tylko pracobiorcami, ale także właściwymi producentami.

Swobodne organizacje robotnicze muszą być również bardzo doniosłym czynnikiem w przyszłym planowaniu gospodarczym. Mechanizm planowania gospodarczego w poszczególnych krajach może być rozmaity, nie do pomyślenia jest on jednak bez decydującego współdziałania reprezentacji pracobiorców, spóżywców oraz producentów, tak w przemyśle jak i w rolnictwie. W skali międzynarodowej skład centralnego wydziału planowania winien być podobny do trójczłonowego składu Międzynarodowej Organizacji Pracy. Winien obejmować przedstawicieli rządów, producentów (pracodawców i robotników) oraz spóżywców (najlepiej spółdzielni spóżywców). W naszych czasach pokój i społeczna pewność jutra okazały się nierozdzielnie z sobą związane. Powiedzmy sobie, że im więcej społecznej pewności jutra zapewnimy w nowym ładzie światowym, tem prawdopodobniejszy będzie trwały pokój.

JERZY GRAHIT.

GUGLIELMO FERRERO

Przedwczoraj, 4 sierpnia, zmarł nagle w Mont-Pèlerin pod Vevey Guglielmo Ferrero, jeden z najslawniejszych uczonych Europy.

Nazwisko to posłyszałem po raz pierwszy przed 34 laty w następujących okolicznościach :

W domu mojego ojca na Ukrainie ukrywał się wówczas przez całą zimę jego przyjaciel, Stanisław Posner, znany działacz P.P.S., późniejszy senator Rzplitej. Wśród książek, które przywiózł z Paryża, znajdowały się trzy tomy świeżo ogłoszonego dzieła Ferrera *Grandezza e decadenza di Roma*, które młodemu ich autorowi dostarczyły właśnie niemałej sławy i spowodowały

powołanie go do Collége de France, zaszczyt naukowy rzadko przypadający w udziale cudzoziemcowi.

Przyjazd Posnera zastał mnie, podówczas trzynastoletniego chłopca, pogrążonego po uszy w lekturze *Historji rzymskiej* Teodora Mommsena. Były słuchacz uniwersytetu berlińskiego, pamiętający wykłady Mommsena i Augusta Zellera, Posner wytłumaczył mi, że historia Mommsena jest w istocie tylko historją Prusaków przebranych za Rzymian i Bismarka ucharakteryzowanego na Juljusza Cezara. Podobnie jak rody dawnych panujących usłużni heraldycy wywodzili od Cezara, tak samo nowe imperjum niemieckie historycy oficjalni czasu Bismarka usiłowali przedstawić jako dalszy ciąg imperjum rzymskiego dla nadania temu tworowi pruskiemu stosownego do jego ambicji autorytetu. (Mówiąc nawiasem, słuszność tych uwag zrozumiałem dopiero później, kiedy z kolei wysłuchałem też niemieckich profesorów, a zwłaszcza kiedy przeczytałem uważnie Senekę, Swetoniusza i Tacyta. Wówczas stało mi się jasne, skąd pochodzi arogancki, niemal hitlerowski ton, jakim Mommsen mówi o Brutusie i Katonie z Utyki, i dlaczego jego historia, mimo całej wiedzy autora, jest tylko opowieścią o tem, jak sobie kamerdyner króla pruskiego wyobraża Rubikony i idy marcowe.) W zakończeniu swego wykładu Posner ofiarował mi historję Ferrera, na której tej że zimy nauczyłem się czytać po włosku. Egzemplarz ten zginął w 1919 podczas wypadków, które razem z domem moich rodziców zmyły z oblicza ziemi moje książki i wiele innych ważniejszych rzeczy.

Innym zimowym wieczorem tego roku dowiedziałem się, że Posner poznał Ferrera w Berlinie, gdzie w początku dziewięćdziesiątych lat ubiegłego stulecia słuchali razem wykładów znanego wówczas prawnika Josepha Kohlera. Wspólnie przeżywali rozczarowania do liberalizmu, socjaldemokracji i uniwersytetów niemieckich, poczem z ówczesnej Mekki uczonych rozjechali się, każdy w swoją stronę. Ferrero porzucił prawo i wrócił do Włoch, gdzie miał jako historyk, przeciwstawić obrazowi przeszłości, zrodzonemu w Berlinie i cieszącemu się wówczas powszechnym uznaniem, obraz odmienny, zrodzony z innych gustów i zainteresowań. Posner pojechał do Warszawy. W 1906 spotkali się znów w Paryżu, dokąd Ferrero przyjechał jako sławny uczoney na zaproszenie Collége de France, Posner zaś jako emigrant polski edycji 1905. O tem spotkaniu mówił widocznie mało, bo słowa jego nie zachowały się w mojej pamięci.

W nowym nawiasie chciałbym dodać jeszcze kilka słów o dalszej karierze Josepha Kohlera, którego wykłady rozczarowały wówczas obu młodych cudzoziemców. Kiedy w 1914 niezręczny Beethmann-Holweg wypowiedział swój sławny aforyzm o *Fetzen Papier* i *Not kennt kein Gebot*, usłużny prof. Kohler naszkicował pośpiesznie i ogłosił drukiem obszerny traktat o

rzekomem *Notrecht*, usprawiedliwiającem całkowicie posunięcia jego rządu. Było to jakgdyby pierwsze przeczcucie późniejszej Akademji prawa niemieckiego, której prezesem był nie kto inny, jak dr. h. c. włoskich uniwersytetów, Hans Frank, obecny krakowski generał-gubernator. Obaj zatem młodzi ludzie mieli dobry gust i widzieli daleko naprzód.

Odtąd przez 34 lata książki Ferrera nie przestawały gromadzić się na półkach bibliotek. Do *Wielkości i upadku Rzymu* przybyła *Ruina cywilizacji starożytnej*, *Żony cesarów* i podręcznik historii rzymskiej napisany z prof. Barbagallo. Wkrótce jednak zaczęły się pojawiać książki na inne, bardziej współczesne nam temata. Największy rozgłos z nich miała *Między dwoma światami*, próba porównania cywilizacji europejskiej i amerykańskiej. Ogłoszona w 1913, książka ta nie utraciła nic ze swej aktualności dla każdego, kto chciałby zrozumieć rolę Europy w t.z. cywilizacji atlantyckiej, o której dziś tak często się mówi. Z tego czasu datuje się sława Ferrera w Ameryce.

Podczas wojny poprzedniej Ferrero był jednym z głównych protagonistów wejścia Włoch do wojny po stronie Ententy. Po przewrocie 1922 jest antifaszystą i ściąga na siebie pogroźki samego Duce. W tem miejscu zaczyna się tragiczny okres jego życia. Ożeniony z córką Cezara Lombroso, Ferrero miał syna, chłopca niezwykłych zdolności, od najwcześniejszych lat piszącego w różnych rodzajach z wybitnym talentem. W okropnych czasach deprawacji młodzieży na całym kontynencie, młody Leo Ferrero jest postacią wyjątkową, jakgdyby zapowiedzią jakiejś lepszej przyszłości dla tej nieszczęśliwej części świata. Ojciec nie chciał pociągać go ze sobą na emigrację, pozostał więc w kraju i, nie mogąc pisać jak dawniej pod cenzurą faszystowską, pisze powieść historyczną z XIX wieku p.t. *Trzeci Rzym*. Dopiero, kiedy syn jego został zmuszony do opuszczenia kraju, Ferrero wyjechał w 1930 do Genewy, zostając profesorem tamtejszego uniwersytetu.

Tu dosięga go ostatni cios fortuny: latem 1933, w 30-tym roku życia, Leo ginie w Ameryce w banalnym wypadku automobilowym, zostawiając w rękopisie kilka książek, wydanych potem przez rodziców. Jest to jakgdyby koniec życia osobistego Ferrero. Od tej chwili—jak pisze jeden z jego znajomych —, „ses yeux exprimaient toujours la souffrance qui l’habitait“. Aby zrozumieć te słowa, nie wystarczy powołać się na południową wrażliwość Ferrera, urodzonego pod Neapolem. Niżej wrócę jeszcze do okoliczności, w których posiadanie syna stało się dlań niemal jedyną więzią z dniem jutrzejszym.

Umysły tak żywe najwidoczniej nie załamują się jednak w dramatach osobistych, bo z okresu genewskiego datują się dwa najważniejsze, być może, dla nas dzieła Ferrera: trzy tomy studjów z epoki napoleońskiej i książka o czynniku legitymizmu w organizacji władzy.

Historja nie pisze się *ne varietur*, ale wymaga ciągłej aktualizacji, jest być może, w swej istocie aktualizacją starych zagadnień. W historii czasów napoleońskich Ferrera znajdujemy to, co nam dziś, w okresie nowych bogów wojny, jest najpotrzebniejsze, jeśli chcemy szukać w historii nauki i inspiracji.

Jego ostatnia, książka ogłoszona w początku bieżącego roku po francusku w Nowym Yorku p.t. *Pouvoir, les Génies invisibles de la Cité*, wydaje mi się najaktualniejszą książką, jaka ukazała się od chwili wybuchu wojny obecnej. Przedmiotem jej jest próba sformułowania praw rządzących w Europie w ciągu ostatnich 150 lat zjawiskami legalności i ciągłości władzy. Znajomość jej wydaje mi się niezbędna każdemu, kto chciałby na serio myśleć o przyszłości powojennej Europy. Z listu, jaki niedawno otrzymałem z Nowego Yorku, dowiaduję się, że książka ta zrobiła największe wrażenie w Ameryce i będzie miała znaczny wpływ na orientację opinii Stanów Zjednoczonych w sprawach urzędzenia kontynentu europejskiego po wojnie.

W zakończeniu chciałbym dodać kilka słów o tem, jak widziałem Ferrera w 1936, i o położeniu niezależnego uczonego na kontynencie w ciągu ostatniego dziesięciolecia.

Do 1936 nie udawało mi się zobaczyć Ferrera i znałem go tylko z jego książek. Dopiero w tym ostatnim roku, korzystając z krótkiego pobytu w Genewie, prosiłem wspólnych przyjaciół o poznanie mnie z sławnym uczonym i w tym celu poszedłem na jego wykład w auli uniwersytetu.

Genewa owych dni mało przypominała Genewę z okresu Ligi Narodów. Kupiony przeze mnie po przyjeździe na dworcu *Journal de Genève* robił wrażenie tak faszystowskie, że z niedowierzaniem spojrzałem raz jeszcze na tytuł: był to ten sam dziennik ale jakże *mutatus ab illo*. Inne czasy, inne gazety. W nawpół pustym „Pałacu Narodów“ odwiedziłem starych przyjaciół. Najmądrzejszy z nich powiedział mi ściszym głosem: „Co tu mówić—sprawa jest jasna. Chodzi już tylko o to, aby zebrać jaknajwięcej gotówki i opuścić ten nieszczęsny kontynent, nie czekając ostatniego okrętu“. Wojna hiszpańska była już w pełnym rozwoju. Hotele gościły setki uchodźców z Hiszpanji. Komitet nieinterwencji był już zawiązany, było więc jasne dla każdego, kto miał ochotę o tem myśleć, że kontynent nie otrzyma znikąd pomocy i w nieunikniony sposób stać się musi łupem Hitlera. Poprzedniego dnia widziałem tragicznego Roberta Dell'a i usłyszałem odeń taką ocenę sytuacji: „Wspólnym wysiłkiem swoich i obcych Francja została wreszcie sprowadzona do rangi Portugalji. Ponieważ Polska nie może opierać się o Portugalję, Anglja zaś nie ma armji i nikomu pomocy udzielić nie może, wasz los jest już przesądzony“. To samo zresztą można było powiedzieć o wszystkich innych krajach kontynentu.

Myślałem o tem wszystkim, wchodząc o zmroku do starego gmachu przy rue de Candolle. Z jasno oświetlonej auli wiało pustką. Za ledwie koło katedry skupiła się niewielka grupka słuchaczy. Było ich łązem osiemnastu; przeważną większość stanowiły młode kobiety.

Genewa była oczywiście małym miasteczkiem i nie mogła, zwłaszcza w takich czasach, dostarczyć większego audytorjum. Zresztą dla różnych złożonych przyczyn, na zachodzie historia od dawna już nie pociągała młodzieży. Słyszając o tem, że we Lwowie Szymon Askenazy ma w swem seminarjum 80 studentów, i że grupa jego uczniów tworzy czynną ekipę przetrząsającą archiwa całej Europy, Aulard i Chuquet pytali: „Jak też ten Askenazy to robi?” Ale od lwowskich wykładów Askenazego rzeczy poszły nierównie dalej. W wolnej Polsce Askenazy nie miał już uczniów, nigdzie nie wykladał i nie był nikomu potrzebny. Jego niedokończone rękopisy pożółkły, i wreszcie on sam, dręczony złemi przewidywaniami, umarł w całkowitej samotności i opuszczeniu. Ta sama choroba ogarnęła powoli większą część kontynentu. Młodzi faszyci spalili już na ulicy bibliotekę Benedetta Croce, a senaty włoskich uniwersytetów przygotowywały dyplom doktora honoris causa dla przyszłego krakowskiego generał—gubernatora. W Niemczech studia historyczne były za ledwie tolerowane w miarę tego jak legitymowały się użytecznością dla partji. W 1935 pewien student niemiecki opowiedział mi, jak otrzymał stypendjum na badanie historii polskich emigracji politycznych. Ponieważ Trzecia Rzesza posiadała znaczną emigrację, w łonie partji wynikło pytanie, jaką siłę przedstawia emigracja i jaką rolę może odegrać. W celu dostarczenia argumentów dla tej debaty, usłudni profesorowie zaczęli badać sprawę w swych seminarjach i wysłali stypendystów dla badania historii emigracji innych krajów. Mój rozmówca widział przed sobą jasną drogę: aby otrzymać *magna cum laude* doktorat z historii, należało wykazać z dokumentami w ręku, że emigracja polityczna nie odegrała nigdzie żadnej większej roli, i partja nie potrzebuje się na nią oglądać. Tak wyglądały tam studia historyczne. Genewa była jednym z mniej licznych na kontynencie uniwersytetów wolnych, ale i tu studia historyczne nie pociągały więcej młodzieży. Jeszcze conajwyżej psychiatrzy studjowali w wolnych chwilach dokumenty w celu wykrycia zbrodni umysłowych Olivaresa czy Napoleona. Historia schodziła do doktora Cabanèsa i jeszcze niżej, do feljtonistów, do skryptorów *vies romancées*.

Sam już więc widok auli zdradzał, że Ferrero nie posiadał audytorjum, nie miał uczniów i kontynuatorów, podobny do ostatniego potomka sławnego rodu uczonych, mającego niedługo wygasnąć. Miał jeszcze kilka tysięcy czytelników, ale ci ostatni, rozproszeni po dwóch kontynentach, stanowili cie-

niutką warstwę, nie mogącą w żadnym miejscu skupić się w stałe audytorjum i ośrodek badań zapewniający ciągłość nauki. Kontynent europejski, będący przez kilka stuleci centralnym laboratorjum wiedzy i myśli, zdawał się chylić ku końcowi. Nawet sława uczonego, po którego—jak czytam w pewnym pamiętniku—prezydent Stanów Zjednoczonych miał wysłać specjalny pociąg, kiedy zaprosił go do Białego Domu, ściągała już tylko kilkanaście kobiet, idących z południowej herbaty na wykład znakomitego prelegenta. W tych okolicznościach posiadanie syna, który nie odszedł z rówieśnikami, nie przystało do faszystów, ale towarzyszył ojcu w samotnej pielgrzymce, wydawało się deską ratunku, ostatnią więzią z dniem jutrzejszym.

W tem miejscu moich refleksji Ferrero wszedł na katedrę i zaczął wykład o historii liberalizmu europejskiego. Ferrero był niezrównanym wykładowcą. Mówił z całkowitą prostotą i swobodą. Z niezmiernego zapasu wiedzy pamięć dostarczała mu wszystkiego, co w danym momencie było potrzebne. Przeszłość wstawiała z jego słów, zarazem przejrzysta i skomplikowana, rozwidniając się wciąż przez analizę. U ludzi południa procesy poznania mają w sobie coś zmysłowego, owianego urokiem młodości. Wspólni przyjaciele prosili mnie, aby w rozmowie unikać faszyzmu, bo samo jego wspomnienie wprawia Ferrera w stan bolesnego przygnębienia. Słuchając go, niepodobna się było tego domyśleć. W miarę tego jak mówił, stawał się—niby Merkury, który *vires acquirit eundo*—coraz młodszy i silniejszy. Dopiero po upływie pół godziny stało się dla mnie jasne, że w tej sali, w tem mieście i w tym roku cała ta subtelna przędza wiedzy i pomysłowości jest czemś zawieszonem w próżni, obcem reszcie świata, czemś podobnem do fikcji artystycznej. Spowity w tę fikcję, Ferrero odgradzał się nią od niegościennej atmosfery moralnej Europy i stawał się znów tem, czem był. Za kilka minut przestanie mówić i znajdzie się znów sam jeden w nocy pełnej złowróznych szelestów. W końcu sali spostrzegłem jego żonę, Ginę Lombroso, która czekała, jakgdyby obawiając się dlań samotnego powrotu przez miasto.

Wykład był skończony. Słuchacze wstali z miejsc, i niewielka ich grupka wydawała się jeszcze bardziej nikła. W tem miejscu odczułem tak żywy smutek, że przeprosiłem moich przyjaciół i szybko wyszedłem na ulicę.

Wspomnienie tego wieczoru opisuję na użytek czytelników ostatnich książek Ferrera. Są one tak żywe i aktualne, że czytelnik nie domyśli się zapewne sam, w jakich okolicznościach zostały napisane i z jak samotnego powstały wysiłku. Są to, być może, ostatnie światła z pogrążonego już napół w mroku kontynentu.

Aix-les-Bains, 6 sierpnia 1942.

SZKICOWNIK WOJENNY

I.

Szatan, jako że nieśmiertelny, gardzi śmiercią. Zdjablony człowiek; za jego przewodem odważny jest również, jak to się potocznie mówi "piekielnie." Kühn wie der Teufel selbst,—daring like a devil—odważny jak sam djabeł—oto chwalba dzisiejsza, odbłask łuny czerwonej, wieniec płomienny wkoło czoł.

II.

Twarde i zuchwałe są dzisiaj kobiety, a nawet i dzieci zaledwie od ziemi odrosłe. Nie okazują strachu. Powietrze natchnione jest nonszalancją demonów, które nic nie ryzykują, lecz tylko radość mają wielką z pogromu boskiego faworyta, człowieka. Pogromu i poniżenia.

III.

Słowo: bliźni powinno być skreślone przez cenzorów całego świata. Zbyt jest tajemnicze. Cóż to za nieznaną narodowość? Niezrozumiałych słów cenzura nie przepuszcza!

IV.

Jakąż raną krwawi obecnie to słowo, i jak długo jeszcze krwawić będzie zanim się zablizni? (Podług swojego, w naszym języku dziwnego brzmienia.)

Nienawiść stała się koniecznością. Kto nie nienawidzi niech nie je: powinno stać się sloganem dzisiejszym. Żołnierz, który w sercu przechowuje wciąż jeszcze niecenzuralne uczucia litości i przebaczenia, wzbudza u drugich śmiech poprostu—jak amazonka współczesna, gdy się okaże, iż wraz z maską gazową przechowuje puder i róż, piękniadła nie na czasie.

V.

A oto przedemną wycinek z gazety, ilustracja do tych fantazji poetyckich: żołnierz obejmuje ramieniem pocisk, który mu aż po czoło sięga. Jest to jedna z tych bomb, która miasta wbijała w ziemię, dumne katedry w proch zsypywała (proch kolorowy od witrażów i kośćmi ludzkimi bielony). Imię jej wyraźnie widnieje na stalowej powłoce, a jakież mogłoby być jeśli nie SATAN? Człowiek wie dobrze komu wynalazki swoje zawdzięcza! I nazywa je po IMIENIU. . . .

KONIE NA WOJNIE (*fragment*)

KOŃ RYDZY.

1

Jakby zabrakło w kłosach ziarna, w ulach miodu,
Wody nie dosyć rybne, pola nie dość żyzne,
Gniewni posłowie wodzów i narodów
Wszczynają mroczny targ o ziemię i ojczyznę.
Szarpał się wiatr zgonionym chartem w sprzecznych racjach,
Aż gniewny Bóg ich na zaturę skazał—
I jak maligna nocna, jak halucynacja,
Szedł duszny wiek zagłady i żelaza.

O świcie w zgrzebnej rzece zanurzony węż
Jeszcze nie poszedł na dno, zgnieciony przez ponton,
I gwiazdy—nie szrapnele—przy wiosennem świcie
Ku zmierzchającym płyną horyzontom ;
Jeszcze się w młynach siwa mąka miele,
W sadach dojrzewające śliwy i morele
W koszyki wyścielane ręką gospodarna
Zbiera, a ser na półkach, jak księżyc na nowiu,
I milsze zgietym plecóm ciężkie wory ziarna,
Niż żniwa krwi braterskiej i ołowiu.

W oczekiwaniu chwili, kiedy afisz świeży
Czerwonym ogniem śmierci spali jasne tynki,
I ciężki krok śpieszących się żołnierzy,
Jak grom się wedrze w sprawy i uczynki,
Przybiera marny fałszerz gesty wielkoluda,
Bandażem zakrwawionym sztandar nad nim zwisa,
A wiejscy gospodarze po skończonych trudach,
Ćmiąc fajki, długo radzą u sołtysa.

Te, co najlepiej znają straszny ciężar sławy,
Mrocznemi wspartej stopy na straconych synach,
Splatają stare dłonie, całe w niebieskawych
Żyłkach,—spieczona warga nocny mrok zaklina ;
I tak, gdy krwawa ziemia zwierza się opiece
Demona, co już nad nią nowe szańce sypie,
Jedynie matki nie śpią, i znużony zecer,
Odezwy przy huczącym bijąc linotypie.

A jeszcze konie w noc czuwają w mrocznych stajniach
I w deski kopytami biją, niespokojne.
Wymowa wróżb i znaków wieszczych im nie tajna,
Nadciągającą czują wojnę ;

Gdy jeszcze się ważyła szala krwi i chwały,
I pokój zdał się schodzić w gadających skrzyniach,
Konie z porannych pastwisk trwożnie rżały
W świat,
Co się oczom zjawiał, jak pustynia.

Widziało stado, skoro wiatr
W skłębione mroki powiał,
K o Ń r y d z y stanął o świcie wśród sitowia
I stępa szedł na miasta,
Jak zagłada. . . .

U KRESU CIEMNOŚCI.

2

Oj, jechały, tętniły malowane ułany,
O koniku cisawym, o koniku bułanym.

Sen miniony jeszcze się nie prześnił—
W złotem słońcu rozwijały się, przypominały się
Rozmarynowe pieśni. . . .

Czy jutrznia świta na niebie, czy miasteczko gore,
Że iskry lecą nad piechotą i taborem,
Rojąc się w ciemnych grzywach, jak ogniste muchy,—
Huczą głośnym tętentem nocnej zawieruchy.
Trakty szerokie, i pod ciężką nogą
Trzeszczy, jak piach wiślany, zdruzgotane szkło.

Konie człapiące zwolna ku dymnym pożogom,
Osnute czadu trującego mgłą,
Na wieczornym patrolu wsłuchane i czujne,
Ogniem dziesiątkowane w oszalałych szarżach . . .
Słyszę w mroku żaloszny, niespokojny głos,
A nie wiem, o, konie,
Kogo wasze rżenie oskarża. . . .

Urywana to bardzo i bolesna nuta,
Ten cichy jęk zwierzęcy jak dziecka szloch bezradny.
Skaczą błękitne iskry po kolczastych drutach,
Czasem rakietą z nieboskłonu spadnie,—
Rwie koń w przydrożnym rowie gęstą ruń koniczyn,
Ciemnym okiem spogląda mądrze i żalosznie,
Jakgdyby lepiej od nas znał gorzkie ziarno przyczyn,
Co spazmem krwi i bólu
W męskich sercach rośnie.

Gdy wybuch szarpnie cegłą i duszającym wapnem,
Biegający piechur staje, potyka się, kładzie,
Obłoczki płyną górą i wesoly szrapnel
Praśnie w gromadę koni, uwiązaną w sadzie,
I krew z rozdartej szyji w czarną ziemię spływa :
Koń wspiera się na nogach, ciężko się podrywa,
Ślepią mu mgłą zachodzą, jeszcze czuje zapach
Soczystej, mokrej trawy, jeszcze rzeniem głuchem
Przywoła gospodarza, twardą trzęzłą targa,—
I już błękitne, krwią opite muchy
Pełzną po chrupach
I spienionych wargach.

Konie, szalone konie na łańcuckiej szosie,
Co pod ulewą ognia przerażone rwą się,
Konie artyleryjskie, w mrok stojące dęba,
O wysadzonych ślepiach, wyszczerzonych zębach ;

Koniu, coś tuż koło mnie poniósł,
Tknięty skrzydłem stali,
I we własne jelita się wplątał i zwałił ;
Gdyście z ognia przemknęły, rwąc dyszle i szleje,
A siny zmierzch za wami w nowych grzmotach głuchnie,
Zostało kilka wozów, wywalone leje
I trup z rozdartym brzuchem
Przy połowej kuchni.

Pamiętam—taka pamięć jest cierpka i gorzka—
Stary chłop lejce z ręki wypuścił i upadł,
A gniady koń, wrzęgnięty do półkoszka,
Przez chwilę ciągnął bezwładnego trupa,
Aż potknął się, w pył drogi zarywszy, i runął,
I legło wpoprzek drogi, i na nic nie zważa
Chłopskie zwierzę,
Zabite obok gospodarza.

Pachniało bardzo na drewnianych gankach,
Jakby znowu zakwitła późna macierzanka ;
Snuły się srebrne nitki po błękitnych steczkach
I nad wymarłą ciszą pustego miasteczka
Krażyły opravione w warkot Messerschmidty.
Koń leżał w modrej trawie wzdęty, jak opity
Nadmiernie, pożar smolną dogasał pochodnią,
Dymił okopcone, rozwalone ściany—
I był, jak krzyk wyzwania naszym marnym zbrodniom,
Ten koński trup
Niewinnie ukamienowany.

Przyjdą inni poeci nad zgasłą smucić się burzą,
 Chwałę wieczystą poległym pułkom wywróżą,
 Będą wprowadzać turystów, gdzie Nike kamiennostopa
 Przechadza się w szumie skrzydeł
 Po opuszczonych okopach—
 A mnie w tym tłumie nie dojrzysz,
 Nie dla doczesnych parafjan
 Szykuję moje elegje i dźwięczne epitafja.

Wam, konie, coście się rwały, na mocnych siadając zadach,
 Gdy w klekotaniu maszynek biegła zagłada,
 Wam, własnej śmierci wierne,
 W rozwianej burzy grzywach,
 Wam ta żałobna pieśń i żalność serca prawdziwa.

Wam, konie kare i gniade, głosami aniołów rżące,
 Które się dziś przechadzacie po gwiazdnej, niebieskiej łące,
 Wam, fosgenem potrute we Flandrji,
 Konające na żelaznych zasiekach,
 Coście padły od kul i z nikczemnej ręki człowieka,
 Któreście nad Wereszycą potonęły w mokradłach,
 I wam, rozstrzelane z czołgów,
 Zanim myśl powiew śmierci odgadła.

Przez mękę Twoją, Chryste,
 I przenajświętsze rany,
 Który konno i w srebrnej zbroi wyjeżdżasz mym snom
 naprzeciw,
 Zaślij Twój pokój koniom podle pomordowanym,
 A światłość wiekuista
 Niechaj po śmierci im świeci.

NIEPOKONANI.

Wracał żołnierz z obczyzny w munduru łachmanach,
 Workiem się przepasując i kijkiem podparty.
 Świeci mu kraj do ślepiów, jak otwarta rana,
 Patrzy : stoją kominy, jak żałobne warty,
 Obrodziło popiołem tego roku bujnie,
 Snadź ziarno było dobre i obornik żyzny.
 Ano, przyjrzyj się, chłopie, a oblicz podwójnie,
 Co z życia,
 A co z polskiej zostało ojczyzny.

Poznaję żołnierz—tutaj rodzinna chałupa
Stała w srebrze poranków i złocie wieczorów,
Tu sąsiedzkie obejście, tam przed matką upadł
Na kolana, gdy przyszli go brać do poboru ;
A tam, gdzie ciemny popiół zżółkłą trawę skaził
I lej głęboki w mokrej otwiera się glinie,
Tak niedawno siadając na starym przelazie,
Ileż zmierzchów poświęcił kochanej dziewczynie.

Dął świeży wiatr z zachodu i zawiewał marcem,
Z ostatnich płatów śniegu pagóry oczyszczał.
Przygląda się wędrowiec swojej gospodarce,
Kij i worek położył na jesiennych zgliszczach ;
Wciąga w zbiedniałe piersi ten powiew i wiosnę,
Siadł na starej przyciesi zachowanej skrzynce,
Aż las zaszumił nad nim i rzenie żalosne
Odezwowało się echem w mizernej olszynie.

I koń artyleryjski, cały w świeżych bliznach,
Rżąc cicho, a boleśnie, z pod gałęzi wyszedł.
Mgłą poranną paruje wiosenna calizna,
Wiatr łachmany uprząży na grzbiecie kołysze,
Czarną ospą pocisków poorana glina
Pławi się w bładem słońcu, martwizny wyszczerza—
I stali przeciw siebie na szczęścia ruinach
Okaleczałe zwierzę i resztką żołnierza.

Widziano : o świtaniu wczesny ugór dymił
Białym potopem przedwiośnia i w skowronków śpiewie,
Czarna ziemia, stęskniona do ziarna ozimin,
Oddychała radośnie na świeżym powiewie
Wiatru, chętnego wielce ku corocznej siejbie ;
Wlókł się za widmem konia potargany lejebik,
Przystawali co chwila, odpoczynki długie
Często czyniąc, bo trud był ich siłom zbyt znojnny. . . .

I modliła się ziemia pod zwycięskim pługiem :
—od pożaru,
Od moru, od głodu, od wojny. . . .

MY Z GARLANDA.

(Paweł Grudka, operator filmowy Kierownictwa Marynarki Wojennej, został ciężko ranny w czasie nakręcania filmu na pokładzie Garlanda w konwoju do Rosji w maju 1942.)

Bo to było tak. Jechali my pełnym gazem kiedy widzę, że na konwój maszyny lecą i bomby rzucają. Wszedłem ja na reflektor—dobre miejsce żeby na wszystkie strony zdejmować—blacha tam gruba taka w koło mnie do pasa—a tu się z karabinem maszynowym kolega ustawia. Mówię do niego—idź stąd Józef (kolega on był jeszcze z Błyskawicy) zabierz te pukawkę—a on pocziwy nic nie gada—przeniósł się. Z drugiej zaraz strony była siedemdziesiątka piątka, przeciwlotnicza. Szykuję ja się do zdjęć a tu taka mgła od przeciwnej strony okrętu idzie—taka sobie mgła może sto metrów szeroka, taki pas. Wyszli my z tej mgły, tak że teraz mgła między nami a konwojem. Ledwie my wyszli a tu patrzę maszyny na nas suną. Jedna, druga, trzy—pięć—niziutko, prosto na mnie—ledwie ja krzyknął „atakują nas“, a tu jak nie łupnie seria raz poraz aż mnie na reflektor wetkało—klatkę piersiową mi do środka wgniotło—i odłamki ci lecą jak cholera i czuję, że we mnie jak w sito—w głowę, w rękę, w bok, i nic nie boli tylko w tym delikatnym miejscu, co Pan wie. Tylko pierwsze myślę, że światłomierz zepsuty, bo wisiał na piersi, chcę go wziąć, rękę z aparatem podnoszę—patrzę a tu krew wszędzie—krew na twarzy—z czoła leci—krew na piersi czuję—mokro wszędzie, od wybuchu z por wylazła—grzmocą ciągle i nasi strzelają, patrzę ja wbok a tu po pokładzie krew płynie—tu ręka leży—tam głowa, gnaty jakieś, masakra. Chcę ja światłomierz wymacać ale mi ręka nie idzie—nagle się sama w drugą stronę odchyła—patrzę ja z łokcia krew bucha, kości gołe sterczą. Wychylił ja się do tyłu—czuję, że już nie ustoję—chcę jeszcze filmować, bo maszyna na nas idzie, maszynie tę w wizjerze prowadzę, krew mi oczy zasłania—maszyna buch do wody—zestrzelili sukinsyna—ale już nie mogę—patrzę, gdzie aparat rzucić—patrzę za siebie, kable tam takie—gumowe grube leżeli—co to elektrykę z brzegu na okręt dają—wypuścił ja delikatnie aparat na te kable i sam stać nie mogę—krew się leje wszędzie—z ust, z nosa, z usz. Przewracam się. Leżę ja, a tu jakiś do mnie skacze—toniemy woła—i korek mi na głowę przez tę dziurawą rękę pcha—pasa ja na sobie nie miał—wisiał obok, przestrzelili go, powietrze uciekło, ja się z tym korkiem na szyi gramolę—patrzę co jest—para leci, bo kanał przecięło—idź ty głupi, paniki nie rób, do niego wołam, bo okręt prosto idzie, nie toniem, tylko para ucieka. I zaczynam ja pomalutku iść do rufy—dopiero wtedy zobaczyłem—iść ślisko, bo krew wszędzie

i gnaty—tu głowa—tam flaki—dwie obsługi działa wybite—jednemu obie nogi oberwało—jedna jeszcze wisi—dwadzieścia minut żył, ale jeszcze przed śmiercią raz strzelił.

Posuwam się dalej aż tu patrzę kolega serdeczny leży, Władek, z nim przed samym nalotem w karty grałem, siedemnaście szylingów byłem winien, Niemcy grę przerwali. Nie zdążyłem mu oddać—teraz on tu, trup, gęba krzywa. Pochyłam się nad nim—moja krew na niego kapie—poznaję go, strasznie mi się zrobiło—myślę sobie te siedemnaście szylingów dam na cel—już ja sobie taki specjalny cel umyślił.

Idę teraz na rufę—pod hydrostatyczne bomby—tam już dużo takich jak ja leży—lepiej tam, bo jak trafi, bomby pójdą, ani się obejrzym w kawałki rozerwie, w wodzie się męczyć nie trzeba. Więc pod temi bombami ja się położył—bo już nie mogę. Krew mi jedno oko zalała—leżę ja, zimno, co oko prawe otworzę—w jedną stronę patrzę—leżą koło mnie straszne pucharatane cielska, krew leci, widok opisać trudno.

Patrzę ja, jeden pół boku ma rozerwane, leży i nic nie stęka tylko śpiewa. Słucham co śpiewa—a on—UMARŁ MACIEK UMARŁ I LEŻY NA DESCE—JAK BY MU ZAGRALI ZATAŃCZYŁBY JESZCZE—i znowu—UMARŁ MACIEK U . . . i tak jakoś zaburczał Uuu . . . i patrzę na niego, nie żyje.

W drugą stronę patrzę na morze—Niemiec statki atakuje—że tego zdjąć nic można—widzę jak jednego handlowca trafił całą serią—amunicja musiała być—błysnęło i dym poszedł i prawie w 5 sekund statek w wodzie. Przychodzi do mnie porucznik—nic mu nie było, a dobrze bo już chłop swoją ranę w 1920 miał, pół tyłka ma wyrwane, podchodzi do mnie porucznik, poznał, mało nie zapłacze—Pawelku, woła, synku mój, nie umieraj—i cofa się, tak się zląkł. A ja do niego—Panie (nawet już „poruczniku“ nie powiedziałem)—chodź Pan, pomóż. A on—co Ci synku pomóc—woła—wszystko Ci przyniosę, co chcesz?—więc ja—kielicha—powiadam i taka chęotka mnie na wiski zebrała, że aż. Przyszedł, przyniósł, pełna szklanka wiski, piję—gorąc taki po mnie idzie, dobrze się robi, ani nic nie boli—pół szklanki wypilem—chcę więcej ale myślę sobie—wypiję wszystko to się zaleję, jeszcze głupstw narobię—rękę tę sobie oberwę albo co, skakać zacznę i po pijanemu będę chciał aparat szukać i kręcić. Więcem się wstrzymał i tak w tej lewej ręce szlanke trzymam—patrzę, szkoda mi—inny bym dał ale nie mogę, wiski z krwią zmieszana bo mi z gęby ciekło—więc jak się nie zamachnę i ryms tą szklanką o żelazne łańcuchy, szkło w kawałki poszło.

Lekarz był anioł nie człowiek. Jak on w tem wszystkim głowy nie tracił, latał w tę i we wtę—tylko nogi i ręce gdzie trzeba obcinał. Przychodzi do mnie—a Pan Grudka—powiada—co Panu—ja tylko przez zęby—ręka—powiadam (ledwie

mówić mogłem). Więc mnie wziął do messy—tam pod stołem krew, nogi, ręce obcięte. Położyli mnie na stole, mundur porozcinali, sanitariusz mi gazę na nos pcha, chloroformem kapie. Ale sam był ranny sanitariusz, ręka mu się trzęsie w tę i w tę zamiast na nos na oczy mi i do ust leje—łamago, do niego wołam, co robisz—nalalo mi się do oka, do ust, piecze jak cholera. A co gorsze wódka swoje robi—ani rusz nie chcę usnąć tylko mi tak wesoło, że aż śpiewam—słyszę inni się śmieją ze mnie—aż mnie złość zebrała—tu bomby lecą—trupy i śmierć wszędzie, a oni śmiać się chcą. Brzydko wszystkich zrugalem—a tu się głos odzywa.—A, to Grudka, no jak się wam zdjęcia udały? Kapitan M to był, leżał z poszarpaną nogą, na operacje czeka. A to i pan kapitan tutaj—powiadam—zdjęcia w porządku, najważniejsze, że Pana Kapitana mam na zdjęciu. Bo go rzeczywiście poprzedniego dnia na Leicę, złapałem jak jabłko jadł, nic nie wiedział. Sam ten moment jak gęba otwarta i jabłko wsuwa.

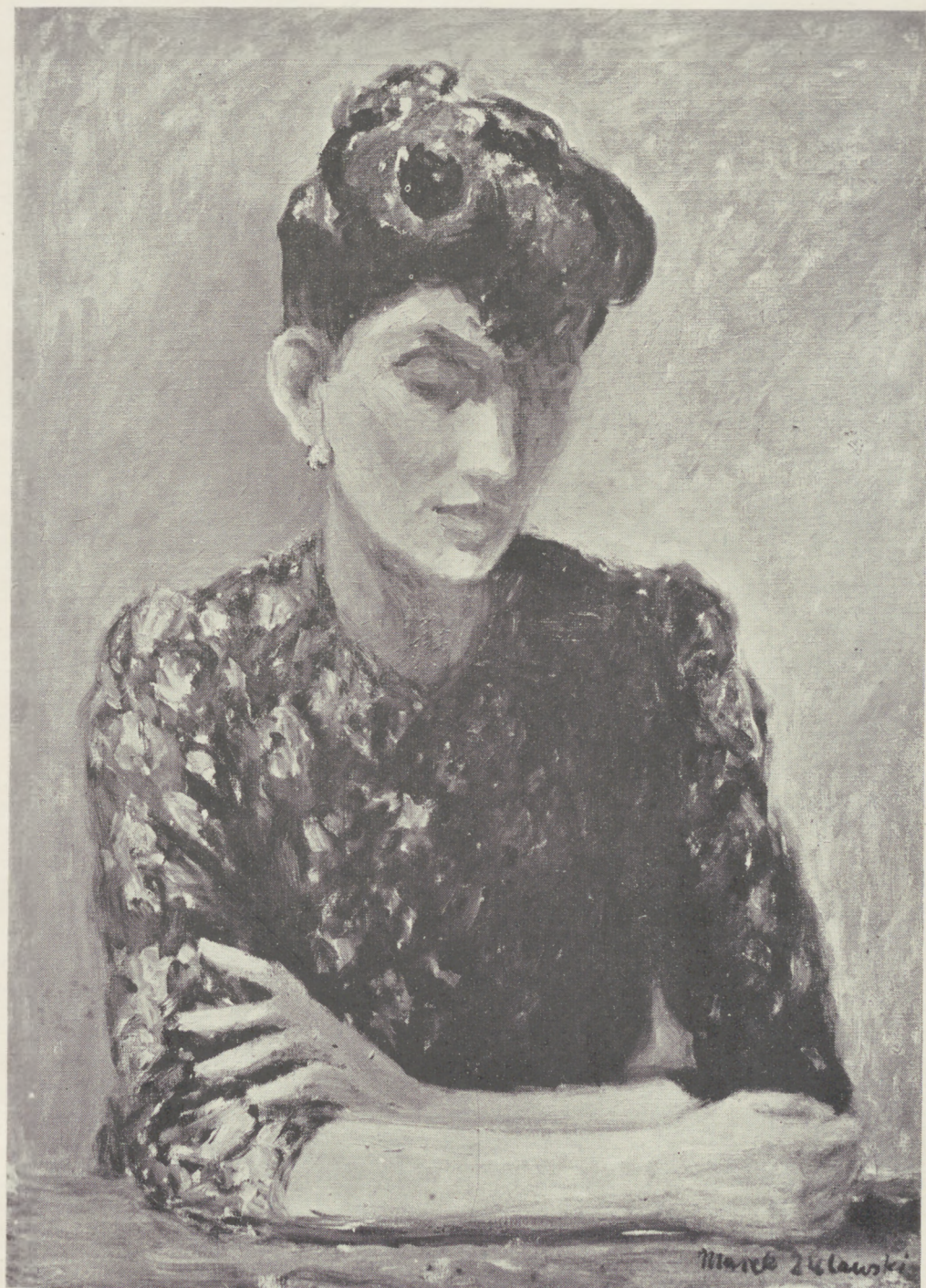
Ale doktor do mnie—no co Panie Grudka—co będzie—ranni czekają a Pan pod chloroformem mi nie zasypia. Co mam robić? Rób Pan co trzeba—mówię—ale jakoś mi się słabiej robi i zasypiam. Kość mi sterczącą obłamał, co trzeba zrobić. Wzieli mnie na pomieszczenie. Ale okręt cały dziurawy. Wszędzie te odłamki szły—i gdzie doleci znowu wybucha—nowe jakieś bomby czy co—nad wodą jeszcze wybuchły—bo wcale pokładu wodą nie zalało. Przyszedł chirurg Anglik bo go nam doktor na pomoc zawołał—przyjechał z drugiego okrętu—na pokład wchodzi—patrzy, krew, gnaty, trupy—zemdłał. Ocucili go, wzięli do messy żeby w amputacjach pomagał—wszedł—patrzy kadłub na stole, znów mięsa kawały, rzeźnia, bo nie było czasu sprzątać—znowu zemdłał—tylko potem co mniej rannych opatrywał.

Ale obrona była fest—gdzie przy dziale pozabijani—zaraz inni przyszli, trupy wyrzucili, rannych odsunęli, sami dalej do Niemców strzelać. Atak trwał 4 godziny.

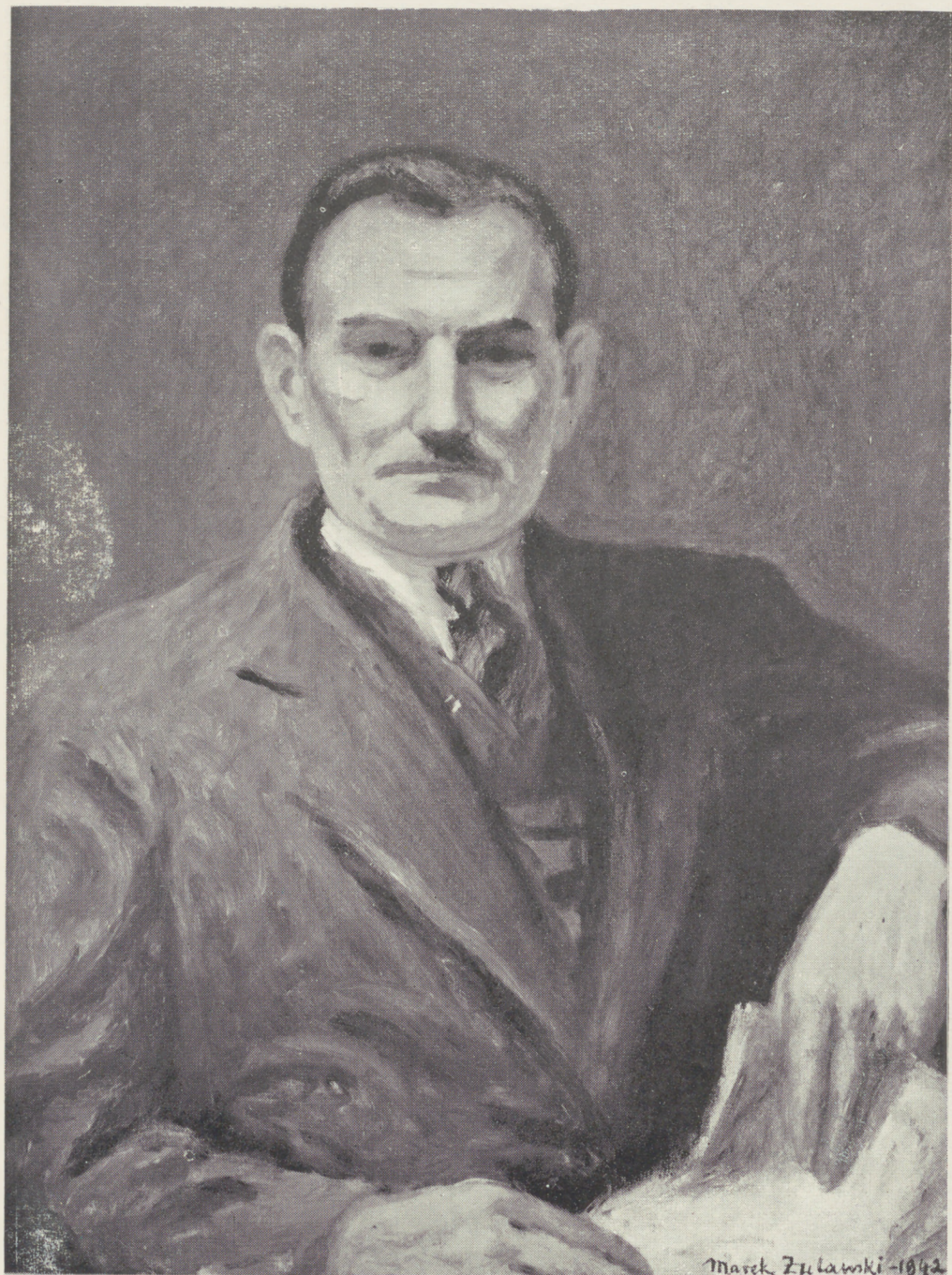
Potem to już spokojniej było tylko stukasy nas męczyli. U nas dziur było ze dwieście—do niektórych pomieszczeń woda się dostała, ale Garland nie zatonał. Kotkę my mieli taką i małe cztery kociaki miała. Postawili dla niej pudełko blaszane—nałożyli szmat, piasku—kociaki były dwa bure, dwa szare—po 3 tygodnie stare jak się nalot zaczął. Woda się tam dostała—pudełko pływać zaczęło—wchodzą koledzy do pomieszczenia a tu patrzą pudełko pływa a kotka nic tylko cały czas pudełkiem balansuje, żeby się nie zatopiło. Jak pudełko zabrali—kotka małe w zębach pod piec zanosła, bo mokre były. Bawił ja się z niemi potem na łóżku. Żyją kociaki, tylko jednego potem gdzieś w przejściu rozdeptali.

Przyjechali my do Murmańska, wzięli nas do szpitala. W tym Murmańsku to się już niektórym nerwy całkiem zepsuły. 6 na-

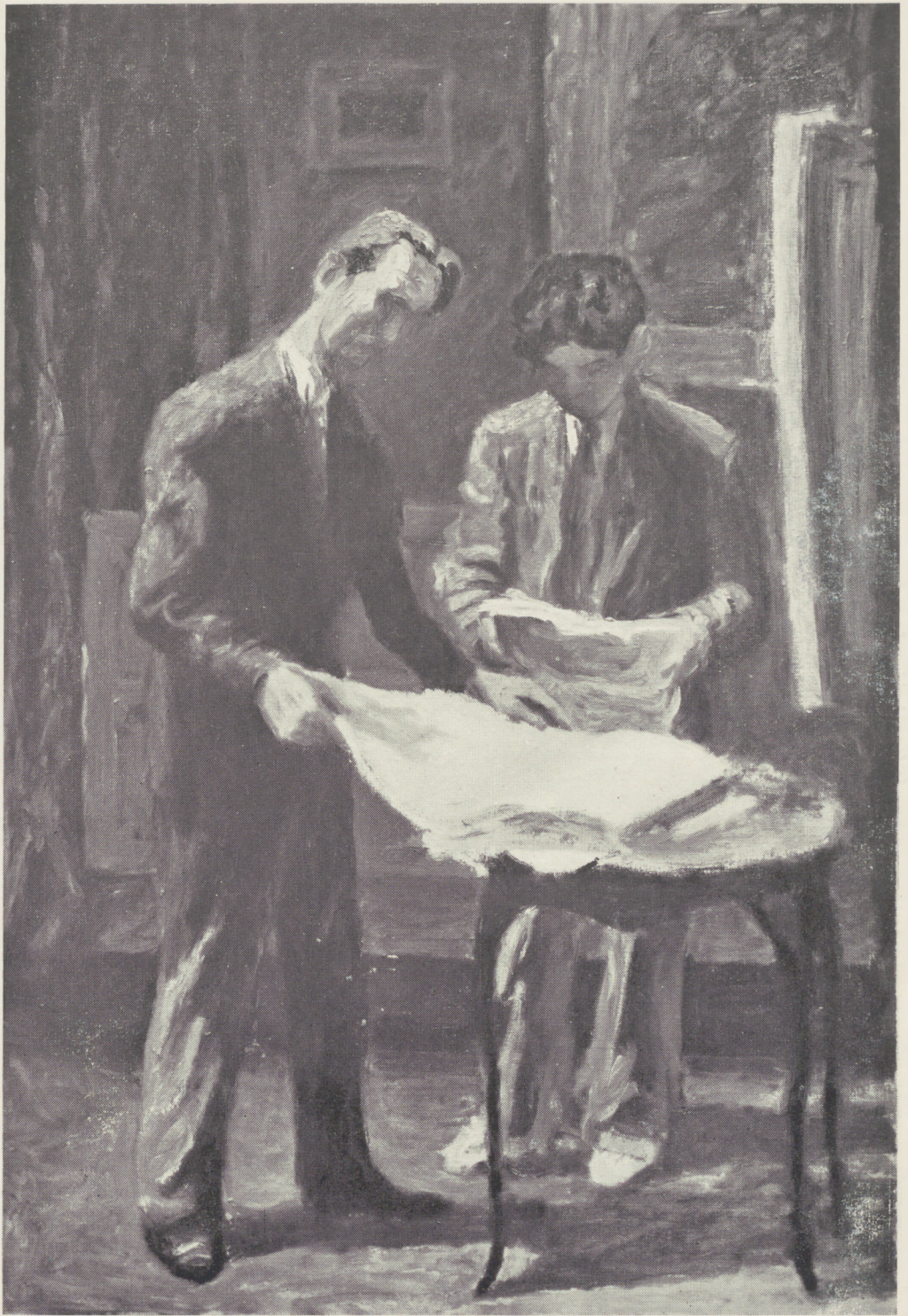
Z PRACOWNI MALARSKIEJ MARKA ŻULAWSKIEGO



GŁOWA



PORTRET



W PRACOWNI



PRZY STOŁE

lotów w dzień, 4 w nocy, bomby wałą i szpital się trzęsie. Trzeba było widzieć jak te kadłuby bez rąk i nóg z łóżek się zwlekali—jak to po schodach pędziło na złamnie karku—jak bomby gwizdały. Chłopak tam jeden był, Amerykan, 16 letni—bez rąk, bez nóg. Trzy tygodnie w life-boacie na Północy pływał, odmroził sobie, aż go bolszewicy wyłowili. Chirurg był w tym szpitalu—pułkownik—ten ani na chwilę pracować nie przestał—kraje nogi, ręce, brzuchy—Rosjan naszych, Anglików, Amerykan. Co się zmęczy to na chwilę na korytarz wyjdzie—tam już taki stał co miał dla niego papierosa zapalonego—dał mu raz—dwa pociągnąć i znowu doktor krajać idzie—ręce całe we krwi. A tu bomby lecą.

A ja tu jednego dnia patrzę—ręka mi się czarna robi i puchnie—gorączka 40.6—trzy dni tak było—aż ten pułkownik przychodzi patrzy—niedobrze powiada, rękę trzeba w łokciu obciąć. Biorą mnie na stół—w nocy to było—nalot właśnie i hotel gdzie nasz doktor stał trafiło, więc w kalesonach do szpitala przyleciał, żeby się przespać. Przychodzi a tu mu powiadają że Grudkę będą amputować. Idzie na salę—powiada Moskalowi (a dobrze się po rosyjsku nauczył)—nie obcinaj Pan, spróbuj co ja radzę—kość odsunąć, ranę rozerwać, niech ropa spłynie. Narkozy mi dać nie mogą—gorączka taka—tobym nie wytrzymał—więc Moskał tylko się spojrzął—kazał siostrze za głowę mnie trzymać—noża wziął i rozcina. Slepia jak mi z głowy wylazły—jakem się zerwał—siostra aż na szafę odleciała. Ładna była dziewczyna, przeprosiłem ją na drugi dzień, na imię Tamara. I powiadam—nie dam się za głowę trzymać—jak nie chcesz zastrzyku dać, to kraj. I krajał. Ropy pociekło jak z garnka i na drugi dzień gorączka 37.6 i nasz doktor przychodzi—no, Grudka—powiada—ręka uratowana.

W tej Rosji dobrze ja się przypatrzył. Głód tam jak nic. Rano dawali herbatę z ziółek, chleba kawałek czarny i twardy ani ugryźć. Na obiad kaszę czarną w miednicy przynosili, wieczorem kawę z żołądźci. Ale spirit u nich pierwsza klasa i trzymają się fest.

Jak my spowrotem jechali to jużesmy na okręcie tylko stęchły ryż jedli (prowiantu nam nie dali) ale lepiej to smakowało. Drugi nas się okręt przez megafon pyta—nie macie czego do jedzenia—to my, że drożdże mamy—a oni się ucieszyli, mamy mąkę, dawajcie drożdży to wam mąki damy. I założyli my skrzynkę na linę na ich burtę zarzuconą—oni worek z mąką i tak w kółko ciągniem—tu mąka, tam drożdże. Kucharzy mąkę złapali, całą noc chlepek piekli, rano chleb był na śniadanie jak najlepsze kołacze.

Z powrotem to nas Fokker-Wolfy prowadziły no i submaryny nas atakowały. Jak my przyjechali do Szkocji—mówię ja do kolegi—dawaj z portu na dobrą kolację skoczymy—ale tu sanitarka już stoi, za kołnierz nas i do szpitala. W szpitalu

gips mi z ręki zdejmują. Anglik się dziwi, kto tak gips zakłada—dwie godziny zbijali—ręka pod gipsem całkiem skręcona i z rany już nie ropa a smoła cieknie. Jeszcze dwa dni znów by gangrena była.

Idziem potem z kolegą na stacji w Edynburgu—dwóch naszych żołnierzy idzie—kapral i sierżant—kapral powiada—patrz, ci pewnie z Garlanda—a sierżant—e, pewnie się gdzieś sukinsyny po pijanemu pobili—jak mnie krew zaląa—jak tą zdrową lewą ręką fangę mu w zęby dałem, na głowę upadł i ani się podniósł. A kapral ani go ratuje tylko do mnie podchodzi i pyta—to panowie z Garlanda? A z Garlanda—powiadam.

BOHDAN NAGÓRSKI

CITY OF BENARES

City of Benares był pięknym statkiem. Zbudowany na parę lat przed wojną nie miał żadnych pretensji do luksusu “Queen Mary” lub “Normandie”, ale wszystko na nim błyszczało czystością i świeżością, kabiny były przestronne i świetnie wentylowane, sale jadalne i wypoczynkowe bardzo przyjemne i nowoczesne, a co może najważniejsze, nie czuć było wcale trepidacji maszyn i mimo dość wzburzonego morza kołysanie nie wiele dawało się we znaki.

To też wszyscy pasażerowie czuli się doskonale, gdy w piątek, dnia 13 września 1940 roku, po dość długim postoju w Liverpoolu, statek wyruszył nareszcie na pełne morze, kierując się najpierw do Montrealu w Kanadzie, potem do Nowego Jorku a stamtąd do Indyj Wschodnich, dokąd prowadził jego normalny kurs. Załoga statku złożona była przeważnie z Hindusów, którzy malowniczymi strojami i kolorowymi turbanami dodawali specjalnego uroku całemu statkowi, zwłaszcza zaś sali jadalnej, po której przewijali się stylowo ubrani, milcząco i zwinni.

Publiczność na statku była mimo wojny bardzo międzynarodowa. Trochę Anglików i Kanadyjczyków jadących przeważnie w sprawach służbowych, pozatem Czesi, Węgrzy, Francuzi, Hindusi, a nawet sporo Niemców, należących do emigracji anty-hitlerowskiej. Pasażerów zwykłych było tylko około setki, a prócz tego statek przewoził znaczną partję dzieci angielskich, ewakuowanych staraniem rządu. Dzieci tych w wieku od 5 do 14 lat było również około stu. Towarzyszyła im grupa opiekunów, czyli tak zw. eskorta składająca się z nauczycieli i nauczycielek, anglikańskiego pastora i księdza katolickiego.

Wśród tego różnobarwnego tłumu było nas dwóch Polaków

—p. Zygmunt Graliński,—Podsekretarz Stanu w polskim M.S.Z. oraz niżej podpisany—dyrektor Polskiej Linji Żeglugaowej Gdynia-Ameryka. Każdy z nas jechał w innych oczywiście sprawach, p. Graliński miał przeprowadzić w Ameryce pewne zadania polityczne powierzone mu przez rząd polski, ja zaś jechałem do Kanady i Nowego Jorku, celem załatwienia szeregu spraw bieżących, związanych z interesami naszego Towarzystwa i miałem powrócić do Londynu po dwóch lub trzech miesiącach. Statki nasze szczęśliwie na początku wojny ocalone pracowały wszystkie intensywnie dla wspólnej naszej sprawy i flaga polska była częstym gościem w Narviku, Marsylii, Dakarze, Halifaxie i Nowym Jorku. Jeszcze przed odpłynięciem z Liverpoolu spędziłem ostatni dzień na jednym z naszych statków “SS. Pułaskim,” który niedawno, zmyliwszy czujność władz francuskich, wydostał się w nocy z Dakaru, przesuwał się z trudem pomiędzy plażą a sieciami zamykającymi wyjazd z portu.

Większość pasażerów SS. City of Benares miała za sobą już dość ciężkie przejścia wojenne, zwłaszcza Czesi i Polacy, którzy uciec zdołali ze swych krajów rodzinnych, brutalnie napadniętych przez Niemcy, a potem przeważnie z jeszcze większymi trudnościami opuszczali Francję, aby uniknąć powtórnego zagarnięcia przez okupację niemiecką. Nietylko doraźne niebezpieczeństwa i bombardowania w Polsce potem, we Francji, a wreszcie w Anglii, ale, co ważniejsze—poczucie chwilowej przynajmniej bezsilności wobec niewiarygodnych wprost gwałtów, dokonywanych przez Niemcy w zagrabionych przez nich krajach—wszystko to uczyniło ostatni rok niesłychanie ciężkim dla wszystkich mieszkańców Europy Środkowej.

To też na statku, mimo pewnego niebezpieczeństwa połączonego z podróżą, nastąpiło odrazu wielkie odprężenie. Orzeźwiający morskie powietrze, doskonała kuchnia, bez żadnych wojennych ograniczeń, sporty i gry na pokładzie, a wreszcie miłe, interesujące towarzystwo, no i brak odgłosów syren i spadających bomb, do których zdążyliśmy się już przyzwyczaić w ciągu ostatniego miesiąca, sprawiły, że wszyscy podróżni z dnia na dzień stawali się coraz weselsi, i czuli się coraz lepiej. W czwartym dniu podróży pewien dziennikarz czeski mówił do mnie podczas spaceru na pokładzie, w przerwie między dwoma partjami tenisa pokładowego :

— Czy nie uważa pan, że podróż na tym statku to jak pobyt w prawdziwym sanatorjum, bo czy można wyobrazić sobie lepszy odpoczynek po naszych wojennych przygodach. O ile naturalnie podróż szczęśliwie się skończy.

Specjalnie lubiłem siedzieć na fotelu na tylnym pokładzie statku, zarezerwowanym zasadniczo dla ewakuowanych dzieci. Przez pierwsze dwa dni niektóre z nich były trochę blade i smutne z powodu choroby morskiej, lecz gdy się już przy-

zwywały do minimalnego zresztą kołysania, cały ten pokład rozbrzmiewał dziecięcym śmiechem i wesołością. Urządzano dla dzieci najrozmaitsze gry i zabawy, nie zapominając również o pogadankach i czytaniu. Przy grupie dzieci stała była również obecna młoda reporterka kinematograficzna, która przenosiła swój ciężki aparat z miejsca na miejsce, aby utrwalić wszystkie interesujące chwile z przejazdu dzieci za ocean.

Oczywiście, że wszyscy zdawali sobie sprawę z istniejącego niebezpieczeństwa i ciągle obliczaliśmy odległość już przebytą aby ocenić prawdopodobieństwo storpedowania zmniejszające się—jak się nam wszystkim wydawało—w miarę jak oddalaliśmy się od Anglii. Jeszcze podczas postoju w Liverpoolu p. Graliński indagował jednego ze spotkanych na pokładzie oficerów statku jak on ocenia stopień niebezpieczeństwa.

— Proszę pana—odpowiedział oficer—ja do niedawna jeździłem codziennie na niewielkim statku z Hull do Londynu i z powrotem na najbardziej eksponowanym szlaku i to przez dziewięć miesięcy z rzędu. Prawie codziennie nam coś groziło, zwłaszcza bombowce niemieckie wciąż nas niepokoiły i bomby nieraz padały tuż obok nas. Statek jak jeździł, tak jeździ do dziś dnia nienaruszony. A tutaj tylko pierwsze dwa dni trochę niebezpieczniejsze, a potem już zupełny spokój. Niema o czym mówić!

Minęły nie tylko dwa dni, ale całe cztery dni i cztery noce. Statek nasz jechał jeszcze w konwoju, ale ponieważ minęliśmy już strefę, którą wówczas uważano za niebezpieczną, eskortujący nas torpedowiec opuścił konwój czwartego dnia i udał się na spotkanie innej grupy statków powracających z Ameryki do Anglii, aby je z kolei przeprowadzić do portów angielskich.

City of Benares rozwijać mógł normalnie szybkość dziewiętnastu węzłów, lecz ze względu na inne statki w konwoju, wyłącznie towarowe, posuwaliśmy się wszyscy z szybkością zaledwie ośmiu mil na godzinę, przyczem my, pasażerowie, pocieszaliśmy się myślą, że w razie zatonięcia naszego statku będziemy mogli względnie łatwo przesiąść się na jeden z towarzyszących nam osiemnastu statków towarowych. Zresztą we wtorek, dn. 17 września dowiedzieliśmy się, że już jedną tylko noc płynąć będziemy tak powoli a następnego dnia rano odłączymy się od innych statków i pełną już szybkością podążać będziemy wprost do Montrealu.

Wieczorem po zjedzeniu doskonałej jak zwykle kolacji, zaproponowałem p. Gralińskiemu przechadzkę na pokładzie, gdzie mimo zupełnego black-out'u, przyjemnie było pospacerować jeszcze trochę na świeżem powietrzu i patrzeć na ciemne sylwetki towarzyszących nam statków. Prócz nas spacerował Colonel Baldwin Webb, nadzwyczaj sympatyczny poseł do parlamentu angielskiego, pewien młody student hinduski, który skończył medycynę w Indjach i prowadził studia dopełniające

w Londynie a potem w Nowym Jorku, oraz kilku innych znajomych ze statku.

Około godz. 10.30 p. Graliński zapytał, czy nie czas by było już położyć się spać, na co mu odpowiedziałem, że niema do czego się śpieszyć, bo jeśli nas storpedują, to lepiej być na pokładzie niż rozebranemu leżeć w łóżku. Ale w gruncie rzeczy wtedy już niewielu z nas liczyło się z tą możliwością, gdyż zdawało się, żeśmy strefę niebezpieczną już przejechali.

W kilka chwil później zupełnie niespodziewanie odezwał się silny trzask nie bardzo podobny do wybuchu bomb lotniczych na lądzie, bardziej suchy, przypominający raczej wystrzał rewolwerowy blisko ucha, dość silny jednak, aby nie pozostawić najmniejszej wątpliwości, że zostaliśmy storpedowani. Jednocześnie słychać było dźwięk tłukącego się szkła a statek wstrząśnięty został tak silnie, że wstrząs odrzucił mnie od p. Gralińskiego na dobrych kilka kroków.

Widząc, że nam wszystkim na pokładzie nic się nie stało, gdyż słyszałem nadal głos p. Gralińskiego i innych naszych towarzyszy, lecz zdając sobie sprawę, że niema czasu do stracenia, udałem się szybko do naszej kabiny, aby zabrać przygotowane już na wszelki wypadek ciepłe futrzane palto, pas ratunkowy i pocztę dyplomatyczną, która była mi powierzona przed wyjazdem. Kabina wyglądała spokojnie i przytulnie, łóżko pościelone, światło paliło się jak zwykle, walizki z wszystkimi moimi rzeczami stały grzecznie ustawione. Żal było trochę to wszystko opuszczać. Zawahałem się czy nie zabrać jakiejś mniejszej walizki, ale obawiałem się, że będzie mi przeszkadzać, zresztą i tak już miałem pod pachą sporą paczkę z pocztą dyplomatyczną. Ułożywszy więc starannie na łóżku moje lekkie palto, w które byłem odziany poprzednio, nacisnąłem na głowę kapelusz i wyszedłem znów na nieoświetlony pokład. Po korytarzach biegali zaafelowani Hindusi i miejscami zaczynała już cieknąć woda. Zbliżyłem się do łodzi No. 12, do której kabina nasza była przydzielona i zastałem tam już kilkoro dzieci z ich opiekunką Miss Cornish, czwartego oficera oraz stewarta, (którzy opiekować się mieli tą łodzią) oraz wielką ilość Hindusów. Natomiast nie widać było jeszcze kilku pasażerów-którzy mieli stawić się przy tej łodzi, w razie alarmu, między innymi p. Gralińskiego oraz jeszcze kilkorga dzieci. Przy próbnym alarmie zjawiało się przy naszej łodzi kilkunastu chłopców, podczas gdy teraz było ich tylko kilku. Zapytałem naszego stewarta czy już wydane zostało rozporządzenie aby siadać na łodzi, gdyż zwykle podczas alarmu trzeba było się zbierać początkowo na tak zw. Muster Station. Oświadczył mi on, że już dane były sygnały alarmowe i że statek zapewne w najbliższym czasie zatonie. Pobieglem szybko do przeciwległej łodzi No. 11, aby zobaczyć czy tam niema p. Gralińskiego i brakujących pasażerów i dzieci. Była tam niewielka grupa

dzieci lecz nikogo ze znajomych podróżnych, przyczem dyżurny oficer zapraszał mnie gościnnie aby, jeśli pragnę, zająć miejsce na ich łodzi. Wolałem jednak dla porządku trzymać się tej łodzi, która mi była z góry wyznaczona. Inne łodzie No. 1-10 umieszczone były na wyższym pokładzie, tak, że chodzenie do nich byłoby już zbyt utrudnione, no i właściwie bezcelowe. Nie wiedziałem również dokładnie gdzie znajdowały się kabiny dzieci, gdyż nigdy nie schodziłem na niższe piętra, na których dzieci były pomieszczone.

Powracając do naszej łodzi, zauważyłem dopiero teraz, że na pokładzie po którym chodziłem wybuchł wielki otwór, prawdopodobnie, zapadło się przykrycie luku i bezpośrednio przedemną czerniała w środku statku jakaś głęboka otchłań, na dnie której rysowały się mglisto kontury wind i maszyn oraz błyszczało trochę wody. Jeden nieostrożny krok w ciemnościach i można było na zawsze zniknąć w tej czarnej czeluści.

Po chwili kazano nam siadać do łodzi już zapełnionej Hindusami i wkrótce łódź zaczęła się dość gwałtownie i nieprzyjemnie huścić i powoli opuszczać ku dołowi, póki nie osiadła na powierzchni wody a raczej nie zaczęła skakać przeraźliwie w górę i w dół, podrzucana przez silne fale wzburzonego oceanu. Marynarze, którzy manewrowali windami, zeszli po drabinkach na łódź, poczem odepchnęliśmy się od statku i rozpoczęliśmy energicznie wiosłować, aby odsunąć się nieco i uniknąć uderzeń o statek. Usłyszeliśmy jedną po drugiej dwie nowe eksplozje i widzieliśmy światła wybuchu w odległości stu do dwustu metrów. Dwa inne statki naszego konwoju zostały storpedowane.

Z początku wydawało się nam prawie niewiarygodne, żeby łódź nasza mogła się utrzymać na tak wysokich falach, lecz widząc, że fale przechodzą jedna za drugą a łódź nie tonie, nabraliśmy nieco otuchy. Zresztą wydawało nam się, że lada chwila podpłyniemy do jednego z osiemnastu statków konwoju i przesiądziemy się na ten statek. Stewart, który opiekował się zaprowiantowaniem łodzi, wydobyl paczkę z sygnałami nocnymi i zapalił lśniąca czerwonym światłem i iskrami pochodnię. Prócz tego dawaliśmy od czasu do czasu znaki lampkami elektrycznymi i otrzymywaliśmy z innych łodzi odpowiedzi.

Tymczasem City of Benares, na którym zapalono szereg silnych lamp na górnym pokładzie zaczął coraz szybciej przechylać się ku tyłowi, poczem światła nagle zagasły, dziób statku szybko wzniósł się ku górze a po chwili cały statek zniknął pod powierzchnią wody. Rozpoczęliśmy rozglądać się teraz energicznie za innymi statkami, lecz nic nie było widać. Natomiast podpłynęło do nas na tratwach kilku rozbitków, których wciągnęliśmy na naszą łódź i dowiedzieliśmy się od nich, że dwie łodzie przy spuszczeniu przewróciły się. Zaczął mżyć drobny deszczyk i zrobiło się przenikliwie zimno. Wydoby-

liśmy ze skrytek kilkanaście wełnianych koców, lecz rozchwyтали je natychmiast zziębnięci Hindusi, oprócz dwóch czy trzech, które daliśmy wyciągniętem z wody. Najlżej ubrane były dzieci, które na statku już spały i wybiegły z łóżek w pyjamach i lekkich płaszczach. Z pośród sześciu chłopców, w wieku od lat 7 do 14-tu, conajmniej połowa miała bose nogi. Bardzo lekko ubrana była eskortująca dzieci Miss Cornish, a najlżej ksiądz katolicki, O. O' Sullivan, który leżał na dnie łodzi z bosemi nogami i w pyjamie. Pomyślałem sobie, że jeśli trzeba będzie na tej łodzi spędzić całą noc, to będzie mu bardzo ciężko. Lecz zarówno dzieci jak i Miss Cornish zachowały zupełny spokój i rozmawialiśmy o praktycznych rzeczach bieżących w zupełnie zwykłym tonie. Starłem się trzymać pod swoim futrem bose nogi chłopców siedzących naprzeciwko mnie. Lecz było to bardzo utrudnione ze względu na to, że wszyscy zaczęliśmy wiosłować, a chłopcom trudno było siedzieć długo z nogami podniesionymi do góry. Zjawiała się koło nas na czas pewien łódź z innego zatopionego statku, natomiast nasze łodzie straciliśmy odrazu z oczu.

Tak powoli przeszły długie godziny tej pierwszej nocy, przy czem rozgrzewało nas nieustanne prawie wiosłowanie a nerwy podtrzymywała nadzieja, że zrana zjawi się pewnie jakiś aeroplan na skutek sygnałów przesłanych przez radio przed zatonięciem statku. Z nastaniem brzasku poczuliśmy największe zimno. Stewart wydobył z zapasów butelkę koniaku i dał nam po parę łyków. Większość załogi cierpiała silnie na morską chorobę, głównie zapewne z zimna a może i ze zdenerwowania, zwłaszcza wydobyty z wody dwudziestoletni marynarz-praktykant dygotał z zimna i co chwila chorował.

Z nastaniem dnia morze się nieco uspokoiło i zaczęliśmy powoli rozglądać się po łodzi i zagospodarowywać się w naszej nowej siedzibie. Wydobyto jakiś brezent, którym okrywaliśmy dzieci od deszczu. Po pewnym czasie steward Purves przy pomocy Hindusów zmontował na przodzie łodzi małą budę-schron naciągając brezentową osłonę na specjalnie do tego przewidzianych stalowych półkolach. W tym małym schronie umieściliśmy dzieci, Miss Cornish i księdza. Wreszcie udało mi się nakłonić Hindusów do oddania jednej całej i pół drugiej kołderki dla użytku dzieci, które odtąd okrywały się niemi wspólnie. W środku łodzi siedzieli Hindusi a na drugim końcu koło steru umieścili się biali członkowie załogi: czwarty oficer p. Cooper, assistant-stewart p. Purves, praktykant-marynarz, oraz przydzielony na statku do komandora marynarki wojennej, który dowodził konwojem, młody aspirant p. Critchley. Wreszcie po całej łodzi kręcił się bez przerwy najbardziej ruchliwy i pełen życia Harry Peard, kanonier obsługujący armatę na City of Benares—również wyciągnięty przez nas z wody.

Peard, jedyny z nas wszystkich, potrafił jakoś przemawiać do

Hindusów, którzy najbardziej opadli z sił i z wszelkiej energii. Peard obiecywał im rychłe spotkanie aeroplanu lub torpedowca, zachęcał do energicznego wiosłowania, a od czasu do czasu wszystkich pobudzał do serdecznego śmiechu.

Ponieważ destroyer eskortujący City of Benares opuścił nas na 20 godzin przed storpedowaniem statku, przypuszczałem, że usłyszawszy sygnały radiowe może pojawi się na nasz ratunek znów po dwudziestu godzinach. Nie wiedziałem wówczas, że torpedowiec ten eskortuje już inny konwój, którego opuścić nie może. Po jakimś czasie, widząc, że żaden samolot nie przyleciał, pocieszailiśmy się, że pod wieczór zjawi się torpedowiec. Tymczasem podążaliśmy wciąż w kierunku wschodnim razem z wiatrem i w stronę najbliższego wprawdzie, lecz odległego o całe 600 mil morskich lądu. Około godziny 11-tej zabraliśmy się a raczej zabrał się p. Purvis do przygotowywania pierwszego posiłku. Wydobyto z jednego worka suchary morskie a z drugiego konserwy mięsne. Odliczyło się osiem sucharów dla dzieci i ich opiekunów, 32 dla Hindusów oraz 6 dla nas pozostałych białych. Na każdy suchar p. Purvis nakładał odcięty szczyrykiem kawałek mięsa i z rąk do rąk te małe porcyjki podawało się najpierw na przód łodzi dzieciom, potem Hindusom, wreszcie naszej grupie. Operacja ta trwała dobre trzy kwadranse. Potem zaczynało się rozdawanie wody do picia, której zapas dość skromny, lecz większy niż to przewidywały przepisy Board of Trade, znajdował się w dwóch niewielkich tankach metalowych na tyle łodzi. Wodę wydobywało się z tanków przez zanurzenie zawieszzonego na łańcuszku metalowego kubka, który potem z rąk do rąk podawany był po kolei każdemu z 47-miu pasażerów łodzi. Było to znów zajęcie prawie na godzinę.

Koło godziny 5-tej drugi posiłek dzienny, polegający na mleku skondensowanym, którego mieliśmy kilka skrzynek i które rozdawało się po jednej puszcze na pięć lub sześć osób. Do tego znowu nieodłączne suchary i znów mała porcyjka wody. Niestety zmrok zaczął zapadać a oczekiwany destroyer nie ukazywał się na horyzoncie. Trzeba więc było szykować się powoli do drugiej nocy i wybierać do spania miejsca możliwie osłonięte od wiatru i od zimna. Hindusi obsuwali się na dno łodzi i nakrywali się razem z głową kocami, trzymając się po kilku blisko siebie aby się wzajemnie rozgrzewać. Dzieci w schronie ułożyła Miss Cornish częściowo na ławkach idących wzdłuż burty, częściowo na podłodze, gdzie leżał zziębnięty i nieruchomy O. O'Sullivan, o którym myślałem, że zapewne 48-miu godzin nie przeżyje. Przy sterze zebrali się angielscy członkowie załogi, ja zaś siedziałem nadal pomiędzy Hindusami. Dla rozgrzania nóg, nie okrytych ciepłym, lecz krótkim paltem futrzanym, postarałem się umieścić na kolanach głowę jednego z siedzących na dnie łodzi Hindusów, który ciałem opierał się

o moje nogi, i świetnie je rozgrzewał. Dzięki temu udało mi się poraz pierwszy zasnąć na kilka godzin. We śnie zapomniałem o łodzi i oceanie i myśli pobiegły na ląd między normalnie żyjących ludzi. Lecz tem przykrzejsze było powolne przebudzenie, gdy najpierw usłyszałem monotony łoskot fal, rozbijających się o boki łodzi, a gdy odemknąłem oczy ujrzałem nad sobą gwiazdy. Widok ten odrazu przypomniał mi dość ponurą rzeczywistość. Zdawałem sobie dokładnie sprawę, że na tych olbrzymich przestrzeniach oceanu jest bardzo mała szansa spotkania jakiegoś statku, zwłaszcza, że obecnie żegluga odbywa się konwojami, jeden konwój do Ameryki właśnie przeszedł a następny wyszedł z Anglii zapewne o tydzień później, i płynięcie tak jak myśmy płynęli łamaną drogą, zmieniając za każdym razem marszrutę. Może się trafić jakiś konwój powracający z Ameryki, lecz czy akurat my go spotkamy! Z naszej niskiej łodzi widać było niesłychanie małą przestrzeń morza, a do tego jeszcze wysokie fale w dużym stopniu zmniejszały pole widzenia. Czy mogliśmy więc marzyć o dopłynięciu o własnych siłach do Irlandji, oddalonej o przeszło tysiąc kilometrów? Posuwając się z szybkością przeciętną 50 mil na dobę, co wydawało mi się absolutnym optimum, zużylibyśmy na taką podróż 12 dni. Czy zdołamy tak długo wytrzymać i czy wystarczą na to zapasy żywności i wody?

W tej chwili ponownie, ale z większą niż dotychczas siłą zastanowiłem się nad tem, czy nie robimy wielkiego błędu, oddalając się względnie szybko od miejsca zatonięcia naszego statku. Czy nie lepiej było zostać na miejscu wypadku w nadziei, że przybędzie tam jakiś statek wezwany na pomoc, lub że wróci po nas jeden ze statków naszego konwoju? Czy nie należało nawet podążyć najpierw kilka mil na zachód, za naszym konwojem licząc na to, że któryś ze statków zatrzymał się oczekując na rozbitków. Wyrzucałem sobie, że nie starałem się energiczniej wpłynąć w tym duchu na oficera kierującego łodzią. Z nastaniem dnia przeszedłem na tył łodzi, skacząc pomiędzy Hindusami z ławki na ławkę aby naradzić się z Cooperem, Purvisem i innymi. P. Cooper oświadczył mi, że kierownicy poszczególnych łodzi nie otrzymali na statku żadnych instrukcyj w jakim kierunku mają podążać w razie storpedowania, lecz że ogólne zasada, przyjęta w takich wypadkach nakazuje udawać się w kierunku najbliższego lądu. Liczył on zresztą na to, że w miarę zbliżania się ku Irlandji będzie większe prawdopodobieństwo spotkania statków, bądź to towarowych bądź rybackich, lub wreszcie aeroplanów patrolujących w pobliżu wybrzeży.

Zresztą zapóźno już było na zmianę decyzji i wracanie z powrotem było już nie do pomyślenia. Przeciwnie należało teraz z całą konsekwencją jaknajszybciej podążać naprzód. Już poprzedniego dnia ustawiliśmy na łodzi wielki maszt, na

szczytę którego uwiązano małą chorągiewkę jako sygnał wzywający pomocy. Gdy szukano na nią czerwonego materiału, ofiarna Miss Cornish, nim zdążyliśmy zaprotestować, ciągnęła z pod ubrania swą różową koszulę, aby ją na ten cel poświęcić. Na drugi dzień nieustanny i bezsilny wiatr zachodni nasunął nam myśl, że świetnie by było przy tej pogodzie żaglować. Okazało się, że jest na łodzi zwinięty żagiel, który dopiero teraz po stracie 40-tu cennych godzin wydobyliśmy z pod burty i po przezwycięzeniu pewnych trudności rozwinęliśmy na maszcie. Nikt zdaje się na łodzi nie był specjalnie dobrym żeglarzem, i w tym wypadku wyjątkowo pożyteczni okazali się niektórzy Hindusi. Po pewnym czasie manewrowanie żaglem stało się dość poprawne i z przyjemnością poczuliśmy jak łódź nasza zaczyna dość szybko i zwinnie podążać ku wschodowi a my mogliśmy zaprzestać wiosłowania, które nam wszystkim obrzydło. W lepszym nastroju układaliśmy się więc do snu, aby przebyć na łodzi już trzecią noc z rzędu.

Na niebie przed zapadnięciem zmroku wprost przed nami na wschodzie ukazywały się ogromne półkolisty tęcze, jak gdyby wielkie wrota prowadzące do innego szczęśliwego świata, ale czy czekały na nas jeszcze na tej ziemi, czy miały to być wrota do raju, tego nikt z nas przewidzieć nie umiał.

Następnego dnia wiatr był nadal bardzo dobry. Napawało nas to otuchą, nawet O. O'Sullivan ożywił się nieco, powstał z dna łodzi, zaczął ruszać się i rozmawiać, twierdząc, że przyzwyczaił się już do dokuczliwego zimna. Dzieci ukryte w swojej budzie zaczęły z niej wyglądać i wysuwać się na słońce z nieco weselszemi minami. Jeden tylko ośmioletni Short był ciągle blady i nadzwyczaj smutny, gdyż nie mógł przeboleć tego, że wychodząc ze swej kabiny zgubił swego sześciolatniego brata, którego inne dzieci trochę od niego odepchnęły, i który nie doszedł już do łodzi. Torpeda trafiła akurat w tę część statku, w której znajdowały się kabiny dzieci, tak że zgasło tam odrazu światło, zaczęła napływać woda, a korytarze napelnione były deskami porozbijanych ścian. O. O'Sullivan mówił, że drzwi od kabiny dwóch z naszych chłopców zacięły się tak silnie, że musiał wyjść z nimi przez dziurę w ścianie do sąsiedniej kabiny i stamtąd na korytarz i na pokład. Stewart Purvis opowiadał, że schodził do kabin dzieciennych, lecz nie mógł już znaleźć nikogo i nie słyszał żadnych głosów.

Staralem się pocieszyć młodego Shorta, że brat jego dostał się może do innej łodzi, która była szczęśliwszą od naszej i została już wyratowana. Podobnie myślałem, że mój towarzysz p. Graliński, który, jak mówił miał zawsze dobry instynkt, jest już pewnie na jakimś innym statku, podczas gdy my włóczymy się beznadziejnie po oceanie. Jeden zaś z Hindusów mówił, że gdyby tak kapitan statku był z nami, to wszystko poszłoby inaczej, bo jak może młody oficer podolać takiemu trudnemu

zadaniu, aby łódź naszą szczęśliwie doprowadzić do celu. Hindus ten był pewien, że kapitan już dawno jest uratowany. Dopiero po kilku dniach, już na lądzie dowiedzieliśmy się, że zarówno kapitan jak i p. Graliński, jak i młodszy Short zginęli razem ze statkiem.

Łódź nasza mknęła szybko i żagiel spisywał się doskonale, lecz wiatr stawał się coraz silniejszy a przez to i fala coraz większa. Na wodzie potworzyły się jak gdyby ruchome wzgórza i gdy wysoka masa wody zbliżała się z wielką szybkością do naszej łodzi, wydawało się prawie niemożliwym, aby mała łódź mogła na takiej fali się utrzymać. W pewnej chwili duża fala przelała się przez burtę, mocząc nas wszystkich i pozostawiając dużo wody na dnie łodzi. Czemprowadziliśmy kubel i kilku Hindusów rozpoczęło energicznie wodę wylewać. Wiatr zrobił się zbyt silny; żagiel trzeba było opuścić i zwinąć, i zabrać się do wiosłowania, aby łódź utrzymać na względnej równowadze. Gdy i w ten sposób trudno było sobie poradzić, wydobyliśmy ze schowku tak zw. kotwicę morską, t.j. kawałek brezentu w kształcie małego spadochronu, który na dość długiej linie wyrzuca się z tylnej części łodzi do wody i który działa jak hamulec, nie pozwalając popychanej przez wiatr łodzi posuwać się naprzód, ani też podnosić się zbyt ponad poziom wody. W ten sposób zrezygnowaliśmy na razie z posuwania się naprzód, lecz zmniejszyliśmy niebezpieczeństwo przewrócenia łodzi. Zresztą te kilka dni doświadczenia przekonały nas, że łódź naogół była doskonała i świetnie trzymała na fali.

Dopiero następnego dnia rano można było nastawić z powrotem żagiel i rozpocząć dalszą wędrówkę. Znow słońce ukazało się na niebie i można było zagrzać się nieco oraz wysuszyć zmoczone ubranie. Z powrotem wstąpił w nas lepszy humor i pewna nadzieja. Myślałem, że skoro wytrzymał na łodzi przez trzy i pół dnia, przeszliśmy szczęśliwie przez burze i deszcze, to właściwie dlaczego nie mogliśmy wytrzymać i przez te całe dwanaście dni potrzebne dla dopłynięcia do lądu. Morze było nadal beznadziejnie puste i mimo wypatrywania statku na horyzoncie, nic nie mogliśmy dostrzec. Zresztą zaabsorbowani codzienną bieżącą pracą na łodzi przeważnie zapominaliśmy o potrzebie dokładnego oglądania się na wszystkie strony aby nie przeoczyć jakiegoś statku. Mało kto już wierzył w takie cudowne spotkanie i raczej staraliśmy się możliwie szybko jechać naprzód.

Ale morze kryło w sobie jeszcze dużo nieprzewidzianych niebezpieczeństw i niespodzianek. Gdy spokojnie wypoczywaliśmy na słońcu, ukazał się nagle o kilkanaście zaledwie metrów od naszej łodzi potężny grzbiet wieloryba, aby po chwili znów zniknąć pod wodą i wypłynąć po pewnym czasie gdzieś z tyłu za łodzią. W nieco dalszej odległości zamajaczyło drugie takie

obślizgłe cielsko. Oczywiście, że wystarczyłoby w zupełności jedno otarcie się nawet nieumyślnie o bok naszej łodzi aby ją dnem do góry wyrzucić.

Następnej nocy mieliśmy znów inną nieprzyjemną przygodę. Padał silny deszcz i Hindusi przykryli się wszyscy dużym brezentem służącym do nakrywania łodzi na statku. Żagiel był rozpostarty, gdyż wiatr nie był zbyt silny i morze nie tak bardzo wzburzone. W pewnej chwili deszcz stał się ulewny a potem zamienił się powoli w gęsty grad. Zanim zdążyliśmy zorjentować się w nowym ukrytym niebezpieczeństwie, deszcz i grad spływające po żaglu napęliły łódź dość znaczną ilością wody. Czemprędzej opuściliśmy żagiel, lecz łódź w nocnych ciemnościach wydawała się tak silnie zagłębioną i przechyloną na jedną stronę, że tym razem przekonany byłem, że nasza łódź już tonie. Takie przynajmniej wrażenie miała cała nasza grupa na przodzie łodzi, gdyż właśnie dziób był najbardziej zagłębiony. Tymczasem zmęczeni Hindusi wszyscy spali. Spali również nakryci razem z głowami jakimś kawałkiem brezentu p. Cooper i Critchley. Wobec tego we dwójkę razem z kanonierem Peardem zabraliśmy się do roboty t.j. do wylewania wody z łodzi, przy pomocy jednego tylko Hindusa. Peard nie chciał budzić innych Hindusów, twierdząc, że już nie ma dyscypliny na łodzi i że ci apatyczni ludzie wschodu wolą raczej utonąć niż zdobyć się na jakiś większy wysiłek. Wylaliśmy może ze 40 kubłów wody a raczej zrobił to Harry Peard przy mojej częściowej tylko pomocy. Gdy spostrzegłem, że jest już bardzo zmęczony, zdecydowałem się jednak na obudzenie Coopera i Critchley'a, którzy jak się okazuje zasnęli właśnie niedawno i byli naturalnie oburzeni, że im się przerwało sen. Cooper twierdził, słusznie zapewne, że daleko jeszcze do tego aby łódź miała tonąć, i że niepotrzebnie robimy panikę. Machnęliśmy więc ręką na dalsze wylewanie wody, której zresztą już niewiele tylko zostało.

Następny, piąty dzień, kształtował się znów dość dobrze, gdyż mieliśmy bardzo pomyślny wiatr i posuwaliśmy się dość szybko wprost na wschód. Nauczeni doświadczeniem obawialiśmy się nieco, że wiatr robi się za dobry, gdyż morze stawało się coraz bardziej burzliwe. Byłem zmęczony po nieprzyjemnych wrażeniach ubiegłej nocy i już koło 5-tej popołudniu przeniosłem się do dziecinnej budy i usadowiłem się na dnie aby trochę odpocząć.

Po chwili jednak odezwały się głosy, że na horyzoncie widać statek. Z początku nikt w to nie wierzył, gdyż jak dotychczas te często zapowiadane statki okazywały się zawsze jakąś chmurką na samym horyzoncie lub odległą pianą fali lub jakimś innym złudzeniem. Lecz tym razem kilku dalekowzrocznych Hindusów z uporem twierdziło, że to napewno jest statek, i po pewnym czasie doszła naszego schronu wiadomość, że rzeczywiście statek jedzie pod prostym kątem do kursu naszej łodzi, tak, że z całą

pewnością musimy się spotkać. Po chwili więc przemogłem ogarniające mnie zmęczenie i senność i wydostałem się z naszej budy. W odległości już zaledwie kilkuset metrów stał na morzu dość duży statek towarowy, i łódź nasza posuwała się wprost w jego kierunku. Zaczęły się pośpieszne przygotowania do opuszczania łodzi. Zdemontowaliśmy naszą budkę, wszyscy pozakładali pasy ratunkowe, Hindusom kazaliśmy ustawić się równo w obawie, aby w podnieceniu nie przeszli wszyscy na jedną stronę łodzi. Statek wydawał się coraz większy i widać już było wyraźnie wszystkie szczegóły. Zawołałem do stojącej na końcu łodzi i zasłoniętych odemnie żaglem grupki białych aby dawali odpowiednie sygnały, prosząc o zabranie nas na statek. I nie dostawszy wyraźnej odpowiedzi chciałem na wszelki wypadek sam pomachać jakąś kolorową płachtą lub chustką, lecz nic takiego pod ręką nie miałem. Obok mnie stał ksiądz, Miss Cornish, i zachwycone widokiem statku dzieci. Maszyny statku były zatrzymane, i wyraźnie czekał on aż podjedziemy bliżej, choć dziwililiśmy się trochę, że on nie podjeżdża do nas. W pewnej chwili z kominów zaczął się wydobywać w większej ilości dym i statek zaczął powoli zakręcać, jak gdyby wreszcie chciał do nas podejść. Lecz wydawało mi się, że nie staje on się coraz większym, lecz raczej jakby powoli się zmniejszał, czemu jednak wszyscy naokoło mnie energicznie zaprzeczali.

Po kilku minutach nie było już żadnej wątpliwości, iż statek oddalał się szybko w kierunku północnym i stawał się stopniowo zupełnie małym punkcikiem. Trzeba było z ciężkim sercem wracać z powrotem na swoje miejsce w łodzi co głównie nie podobało się dzieciom, które poraz pierwszy zaczęły trochę popłakiwać. Pocieszaliśmy się, że przy coraz bardziej wzburzonym morzu przechodzenie na statek byłoby i tak bardzo niebezpieczne. A wreszcie przypuszczaliśmy, że może był to statek niemiecki. Naturalnie każdy z nas wołał bez porównania zostać nadal na łodzi niż dostać się do niewoli niemieckiej.

Wkrótce po zniknięciu statku dotychczasowy silny wiatr zamienił się na burzę. Znow trzeba było spuścić żagiel i wyrzucić kotwicę morską. Noc była jedna z najcięższych nietylko z powodu doznanego silnego rozczarowania lecz i wskutek konieczności ciągłej walki z falami i z docierającym wszędzie deszczem. Nawet pod małym namiocikiem dzieci zebrali się tyle wody deszczowej, że dzieci nie mogły leżeć na podłodze i trzeba było je wszystkie poprzenieść na górne ławki gdzie znow dokuczał nielitościwie wiatr i szkodził deszcz. Nad ranem, gdy wszyscy nareszcie pozasypiali, zauważyliśmy z Harry Peardem, że wiatr na tyle się uspokoił, że można było na nowo podnieść żagiel. Teraz nie było już czasu do stracenia. Nie mieliśmy dużej nadzieji, aby drugi raz tak szczęśliwym trafem spotkać na tych bezdrożach jeszcze jeden statek, trzeba

więc było polegać na własnych siłach. Mimo dobrego wiatru i niezłej szybkości łodzi zasadziliśmy wszystkich Hindusów do wiosłowania, tak aby łódź popychał zarówno żagiel jak i wiosła. Cały dzień oraz cała prawie następna noc zesła nam na tej wyłącznej pracy. Znow spotkaliśmy wieloryby, ale nikt na nie nie zwracał już uwagi ani nie przejmował się tem niebezpieczeństwem. Przejechaliśmy podczas tej doby według naszych obliczeń przeszło sto mil, lecz następny ranek, siódmego dnia zastał wszystkich opadłych z sił wskutek tak dużego nieustającego wysiłku. Wszyscy wyglądali coraz szczuplej, policzki mieli pozapadane, wargi wyschnięte i oczy błędne od zamieniającego się już w gorączkę pragnienia. Pogoda zrobiła się bardzo ładna i słoneczna, lecz niestety wiatr słabł coraz bardziej, a prócz tego zanosił nas zanadto na południe. Hindusi stracili resztę animuszu i wszyscy na łodzi zaczęli się stawać źli i niechętni jeden wobec drugiego. O świcie jeden z Hindusów wpadł do wody i utonął. Inni zaczęli natarczywie domagać się wody, tak że trzeba było odpędzać ich od tanków matą. Zresztą większość Hindusów zachowywała się zupełnie poprawnie i z całą lojalnością wobec nas, a tylko u niektórych wyszły na jaw buntownicze cechy charakteru. Aby ich nieco uspokoić oraz ulżyć na chwilę pozornie ich prawdziwym cierpieniom, wyostałem z naszej podręcznej apteczki, w której niestety były prawie wyłącznie tylko środki opatrunkowe, małą buteleczkę jodyny i dzięki szczęśliwemu pomysłowi, na który wpadł O. O'Sullivan, lecz nie miał sił samemu go wykonywać, zacząłem jodynować nogi wszystkim tym Hindusom, którzy nie mieli na nogach obuwia. Stopy ich były przeważnie spuchnięte, czerwone i prawie całe pokryte ranami. Z tak wielką rozkoszą przyjmowali oni tę, niewiele w gruncie rzeczy znaczącą pomoc, że koło dwóch godzin spędziłem na pendzlowaniu i masowaniu ich nóg, obchodząc po kolei wszystkie ławki, gdyż oni sami nie mogli już się ruszać z miejsca na miejsce, z wyjątkiem kilku najodporniejszych. Może być, że ten zabieg najwięcej dobrego zrobił mnie samemu, bo oderwał myśli od dręczącego już niepokoju o nasze losy, oraz dał mi poczucie że przecież jeszcze komuś jestem potrzebny.

Wieczorem, gdy ułożyliśmy dzieci spać, jedno z nich dostało nagle ataku szału, zrzucało z siebie wszystko i z krzykiem zrywało się z podłogi. Był to najstarszy z chłopców, mający około lat 13. Wydawał on tak niesamowite dźwięki, że spłoszeni Hindusi, którzy zwykle tłoczyli się w najbliższym sąsiedztwie naszego schronu, usunęli się powoli wszyscy w inną stronę łodzi, jakgdyby obawiając się aby im się ten szal nie udzielił. Przykrywaliśmy chłopaka czem było można, Miss Cornish zdjęła swój lekki żakiecik i została w cienkiej bluzce, mimo naszych energicznych protestów, ja zaś nakryłem chłopca moim paltem futrzanym. Wszystko to nie pomagało, gdyż on

odrazu z siebie wszystko zrzucił. Wreszcie znalazł zwykłe najpraktyczniejsze rozwiązanie Harry Peard i związał chłopcu ręce i nogi, tak że ten nie mogąc się ruszać po krótkiej chwili zasnął.

Następnego, ósmego dnia rano, gdy pierwsze promienie słońca oświetliły naszą łódź, przedstawiała ona widok nad wyraz żalospny. Nawet mała grupa białych wyglądała już okropnie, a Hindusi przypominali raczej mary niż żywych ludzi. Co najgorsze okazało się, że stewart Purvis przeliczył się trochę przy ocenie zapasów wody, co do których był dotąd dość optymistyczny i okazało się, że została nam już tylko jedna porcja. Postanowiono więc, że dnia tego na obiad woda nie będzie wydana, a tylko pod wieczór dostaniemy zwykłą porcję, prawdopodobnie już ostatnią. Jakby dla kontrastu z naszym stanem, pogoda była bardzo ładna, najpiękniejsza z wszystkich jakie mieliśmy dotychczas. Morze było zupełnie spokojne, ale również i wiatr był minimalny, tak że łódź ledwo się posuwała. Zaczęliśmy trochę wiosłować, ale z Hindusów już prawie żaden nie miał na to sił.

Nasz chory chłopiec jakoś wstał i zachowywał się zupełnie normalnie, chociaż widać było, że ma gorączkę. Ponieważ słońce bardzo przygrzewało, Miss Cornish zaproponowała aby zdjęć brezentową budkę i dzieci siedziały wszystkie w pełnym słońcu.

Gdy kończyliśmy nasz posiłek dzienny, który tego dnia składał się ze zwykłego suchara, którego nikt już nie mógł jeść z powodu pragnienia oraz z małego kawałka gruszki z puszki, no i co najważniejsze z pewnej ilości soku od tego kompotu, jeden z chłopców zaczął nagle wołać, że widzi zbliżający się aeroplan. Nie bardzośmy w to wierzyli, ale po pewnej chwili i inni zobaczyli jakiś dziwny, ciemny punkt tuż nad horyzontem. Jeszcze kilka chwil i nie było już żadnej wątpliwości, że wprost w naszym kierunku zbliża się aeroplan. W wielkim pośpiechu zmontowaliśmy dwie chorągiewki za pomocą desek ze skrzynki od mleka skondensowanego oraz dwóch kolorowych turbanów zerwanych z głowy najbliższym Hindusom. Critchley, który był specjalistą od sygnałów w marynarce wojennej, stanął na ławce, podtrzymywany przez jednego z sąsiadów i zaczął wymachiwać chorągiewkami znak S.O.S. Samolot, który podleciał już blisko okazał się wielkim hydroplanem, typu Sunderland. Zaczął on krążyć dookoła naszej łodzi na małej wysokości, dając nam sygnały aparatem lusterkowym oraz przyjmując sygnały Critchley'a. W ten sposób wylegitymowaliśmy się wzajemnie, poczem Sunderland usiłował opuścić się na wodę. Mimo jednak niezwykle spokojnego w porównaniu z ubiegłym tygodniem morza, wodowanie okazało się niemożliwe. Wobec tego za pomocą nowej serji sygnałów Sunderland zapowiedział nam przysłanie w ciągu kilku godzin destroyera, z czego

wywnioskowaliśmy, że jesteśmy zupełnie blisko brzegów, i byliśmy bardzo dumni z przebycia o własnych siłach tak wielkiej przestrzeni. Hydroplan znikł znowu z naszych oczu, lecz po kilkunastu zaledwie minutach zjawily się dwa hydroplany, które na pasach ratunkowych rzuciły dla nas na powierzchnię morza worek z żywnością oraz sygnał dymny, celem ułatwienia odnalezienia nas przez kontrtorpedowiec, gdyby przed jego przyjazdem zapadł już zmrok.

Postanowione zostało, że za godzinę przystąpimy do następnego zapewne pożegnalnego posiłku, lecz niestety okazało się, że nie dostarczono nam wody, której wszyscy najbardziej byli spragnieni. Mimo to oszołomieni byliśmy ilością puszek z różnymi zupami, jarzynami, kompotami i rybami a głównie tem, że można było wszystkiego jeść ile się chciało, bez wydzielania mikroskopijnych porcyjek.

Gdy wreszcie z dawnego zapasu, jaki nam pozostał zaczęliśmy przystępować do rozdawania owej upragnionej ostatniej porcji wody, na horyzoncie zjawil się znów hydroplan, a tuż za nim zbliżający się w szybkim tempie kontrtorpedowiec. Ku prawdziwej rozpaczycy Hindusów trzeba było zrezygnować z rozdawania wody i przygotować się do przybicia do burty torpedowca. Kilku Hindusów nie chciało jednak słyszeć o niczem innym jak o picciu wody i rzucili się ku zbiornikowi tak, że trzeba ich było siłą od niego odrywać. Za krótką chwilę łódź nasza była już przy boku torpedowca, na którego ścianę wyrzucona była wielka sieć oraz szereg małych drabinek. Kilku marynarzy zeszło na łódź i zaczęło przenosić na pokład torpedowca dzieci oraz większość Hindusów, którzy nie byli w stanie uczynić tego o własnych siłach. Nasza grupka białych weszła bez trudu na statek, lecz dopiero na pokładzie poczuliśmy, że nogi odzwyczały się zupełnie od chodzenia. Ale jakoś dostaliśmy się do messy oficerskiej, podczas gdy Hindusi poszli do jadalni marynarzy, a O. O'Sullivan i Miss Cornish dostali każde po kajucie oficerskiej i położyli się odrazu do łóżek. Dzieciaki rozsiadły się przy kominku, z wyjątkiem chorego chłopca, który również poszedł do łóżka, i zaczęły najspokojniej przeglądać pisma ilustrowane. Poczestowano nas herbatą, która wydawała nam się jakimś najrozkoszniejszym nektarem.

Gdy w pół godziny później wyszedłem na pokład morze wydało się zapełnione statkami. Okazało się, że byliśmy jeszcze w odległości około 180 mil od brzegu i że nasz kontrtorpedowiec eskortował konwój, powracający do Anglii i złożony z 43-ech statków. Krążył on niby owczarek dookoła tej wielkiej gromady, to z jednej to z drugiej strony, wypatrując ukrytego niebezpieczeństwa. Byliśmy w samym ośrodku najniebezpieczniejszej strefy, lecz zarówno mnie jak i zapewne innym pasażerom naszego statku kontrtorpedowiec wydawał się najbezpieczniejszym miejscem na świecie.

W nocy opuściliśmy konwój i na drugi dzień rano mogliśmy rozkoszować się jazdą o szybkości 23 węzłów, co dopiero pozwoliło nam zdać sobie sprawę z tego jak powoli posuwaliśmy się na naszej łodzi, nawet w chwilach najkorzystniejszego wiatru.

Około szóstej popołudniu zajechaliśmy wreszcie do małego portu w pobliżu Glasgow, gdzie z entuzjazmem przyjmował nas wielki tłum reporterów, fotografów i operatorów kinematograficznych. Okazało się, że oddawna uważano nas wszystkich za zaginionych, gdyż pasażerowie innych łodzi wyratowanych już po dwudziestu godzinach przez wysłany na miejsce wypadku kontropedowiec znajdowali się w stanie ostatecznego wyczerpania i wielu z nich zmarło w ciągu pierwszego dnia z tego wyczerpania i zimna. Nie przypuszczano więc, aby po tylu dniach istniała jakakolwiek nadzieja odnalezienia nas żywych.

Okazało się, że nienajgorzej gospodarowaliśmy na łodzi i że wiara w wyratowanie pozwoliła nam lepiej od innych przetrwać długie i tak niebezpieczne chwile.

STEFANJA ZAHORSKA.

PIERWSZY DZIEŃ.

Fragment powieści „Polska Jesień“.

I.

Piotr zerwał się pod wrażeniem myśli, że krowa się cieli i bardzo ryczy, napewno coś jest nie w porządku. Słoneczne światło wpadało do pokoju, w drzwiach stała zastraszona, w nocnej koszuli Irena, miała na włosach siatkę i głowa wydawała się za wielka. Piotra nagle chwyciła złość, że ona napewno nie wie co się dzieje z ryczącą krową, bo się na tem nie zna i nie lubi wsi, mieszcza. Wtedy dopiero oprzytomniał, poplątane obrazy wsi odplynęły, oczy otworzyły się szeroko i napotkały kołdrę na łożku, dywanik, otwór przeciwległych drzwi, pustą obok nich ścianę (coś trzeba na niej powiesić), kaktusy na oknie. Był w mieście w swoim mieszkaniu, to co ryczało, to nie krowa, lecz syrena alarmowa.

—Co to może być?—zapytała Irena, wiatr przewiewał, koszula przylegała do ciała i uwidoczniła piersi, nieco opadłe.

—Jakto co?—powtórzył pytanie, jeszcze nie zupełnie pewien swej świadomości. —Przecież miały być dziś ćwiczenia alarmowe—rzekł, nie wiedząc, czy tak napewno jest. Spojrzał na zegarek: była 7 ma, właściwie późny ranek, kto mu dawniej pozwolił tak długo spać. Rzucił się na poduszkę, zakrył się kołdrą ponad głowę:—spać człowiekowi nie dają. —I dopiero leżąc twarzą do ściany oczy otworzył szeroko i postawił sobie pytanie: ćwiczenia? czy też wojna? Ciężar ostatnich dni i nocy zwałił się znowu na głowę i serce, nieuchronność wojny stanęła tak blisko oczu, jak ściana i trochę ścierpły nogi. Był 1-szy września. Hitler lubi daty znaczące. Ale przecież nie było wypowiedzenia wojny.

Wstał i poszedł do łazienki.

Ostanie używał jej ze specjalną rozkoszą. Był dumny z niej, najchętniej prowadziłby do niej wszystkich gości, którzy przychodzili, zresztą nie za często. Szkoda pieniędzy na przyjęcia. Białość kaffi przyrównał co rana do ochlapanej ściany w domu, przy której na drewnianym stołku stała miska o brunatnym osadzie, woda na wsi była żelazista, a zresztą nikt się

o to nie troszczył, by miska była czysta. Myli w niej wszyscy ręce zabrudzone ziemią i zapominali wylać wodę. Puszczal teraz z wielkim hałasem ciepłą i zimną wodę do wanny, ale do dumy z posiadania niklowych kurków dołączało się nieprzyjemne uczucie: niewiedomo co się z nimi stanie. Kiedy się golił, posłyszał znowu syrenę, i ciężar opadł z serca.

—Widzisz, że miałem rację—rzekł do Ireny, kiedy wszedł do pokoju. —Napewno tylko ćwiczenia. Irena nie była ubrana, narzuciła tylko szlafrok na koszulę i miała tę nieprzyjemną siatkę na włosach, choć to zawsze ona jemu zarzucała, że chodzi bez kołnierzyka po domu. Spinka ją drażniła. Co jej ta spinka szkodzi? Nic. Oto tylko chodziło, żeby pokazać, że jest lepiej przyzwyczajona, że jest lepiej wychowana. Zarzucała mu także, że kiedy je, to się nachyla nad talerzem przy każdym kąsie i za szeroko łokcie rozstawia. Nagle coś go znowu ścisnęło za serce. Jeśli przyjdzie wojna, to wieloletni spór o spinkę i o łokcie stanie się bezprzedmiotowy. Dziś 1 września po raz pierwszy od wielu lat poszedł przed śniadaniem do swego pokoju, by włożyć kołnierzyk i siedząc przy stole starał się trzymać nieruchomo i przyciskał łokcie do ciała. Wojna jest przecież nieuchronna. Ale w gazecie nie było nic o wypowiedzeniu wojny i w radju grano mazurki.

—Ubierz się—powiedział do Ireny.

—Co będzie?—szepnęła—co robić?

—Żebyś ty nie była taka wielka pani, to bym ci powiedział co masz robić. Zapakuj manatki i jedź na wieś, do moich. Za parę dni wojna będzie nad Warszawą. Jak ci dom rozwałą, to będziesz żałowała, żeś nie pojechała w bezpieczne miejsce, w góry.

—Jakto dom rozwałą? Przecież to niemożliwe.

—Umówiłaś się z Hitlerem?—zaczął jej nagle malować obraz nalotu w który sam nie wierzył. Coprawda nie daleko jest lotnisko, ale według jego obliczeń to miejsce będzie najbardziej bronione właśnie z powodu bliskości lotniska. Potem zaczął jej dokładnie wyliczać, co powinna ze sobą wywieść. Oczywiście srebra stołowe, choć to raczej przesąd. Srebro ma niewielką wartość. Natomiast całą bieliznę osobistą, stołową, pościelową, dywany, płaszcz, futra. Byłoby mu napewno żal, gdyby te wszystkie rzeczy, których się z trudem dorobił, miały przepaść. POCO tracić? Poszedł do pokoiku, gdzie stały szafy o pełnych półkach. Nie było tego koniec końcem dużo, niektóre rzeczy jeszcze wyprawowe Ireny, odsuwał je z pewną pogardą. Ale były inne, nowsze, które sam wybierał, kupował, wsuwał rękę w stos bielizny i poznawał je dotykiem. Nie lubił niepotrzebnych wydatków, ale jeśli coś kupował, to w dobrym gatunku. Irena zawsze o nim mówiła, że jest sknera, bo jej nigdy nie zaprowadził do drogiej restauracji, na drogie miejsca do teatru, ale kiedy znosił do domu różne rzeczy to się oburzała, że za dużo pieniędzy wydaje. Teraz stała obok milcząca i patrzyła jak wyluskiwał ze stosów „swoje“ przedzieradła. Nagle wybuchnęła:

—Tego to już nie rozumiem. Wojna wisi na włosku, kraj w niebezpieczeństwie, a ty przedzieradła wybierasz! —Zaczęła mu wymyślać od braku patriotyzmu i ciasnoty, chciał jej odpowiedzieć ostro, po swojemu i nagle uczył znowu ucisk na głowie i ścisnięcie serca. Może dziś, może jutro, skoro wojna wybuchnie to i ten spór wieloletni stanie się bezprzedmiotowy. Podtrzymywał go teraz, odpowiadając trzy po trzy, już tylko dlatego, żeby trwały te sprawy, żeby tylko była jakaś ciągłość—może wojna jednak nie wybuchnie? Na wszelki wypadek musi dziś załatwić w fabryce, żeby go zwolnili, żeby się mógł zgłosić do wojska.

—Koniecznie rzeczy zapakuj dziś jeszcze. Nic te twoje gadania nie znaczą. Potem będziesz rada, że coś masz.

—Potem? Na biurku leżał kalendarz. Jedyńka, która rozpoczynała ten miesiąc była w czarnej obwódce, potem była dwójka, potem szły kartki

znaczące nowe tygodnie, dni puste i białe mieściły się cienkimi linjami, 15-tego płatny był weksel, 27-go był jakiś zjazd, wpatrywał się w ten dzień odległy jakby chciał odgadnąć jego kształt: słońce wszędzie jak zawsze, niewiadomo czy na niebie będą chmury, czy będzie pogoda? I będzie tego dnia także południe i będzie zmierzch i zapadnie wieczór, będą ludzie szli ulicami, będą stąpali po bruku, wchodzili do bram domów, szli schodami, schodzili do mieszkań, będą mówili po polsku, będą klęczeli w kościele—zdawało się, że ilość pewników nie ulegających wątpliwości jest niepomiarne wielka—dodawał do nich jeszcze dalsze: będą jedli, będą spali, będą coś robili, cokolwiek by się stało, to wszystko jest pewne, pewna jest Wisła i pewne są jej brzegi—a mosty? Zapytał nagle. Przymknął oczy, jakby w ciemności chciał odszukać przyszłość mostów przerzuconych nad wodą, spoglądał na ich filary i czuł ich byt jako byt kamieni i jako cyfry, w których dobrze obliczony był opór i obciążenie, strzałki znaczyły jakby krążenie sił, a jeśli by mosty były niepewne w tym odległym dniu, to pewne i niezniszczalne są te małe cyfry, linje przerywane i ciągle, które będą stały nad wodą nawet jeśli nie będzie kamieni. . . .

Podniósł powieki, zapatrzył się w jakiś punkt w kącie pokoju, w tym ciemnym kącie plątało się jedno słowo, które powinien był postawić na czele wszystkich pewników, słowo niewielkie i bardzo obszerne, w kącie między półką z książkami przeciągała nieskończona treść tego słowa, zielona jak łąki, żółta jak zbożowe pola, rozigrana jak gałęzie na wietrze, jak wody w rzekach, zwierające się w twarde skupiska domów i znowu płynna, falista i gdzieś daleko na krańcach wznosząca się wielkim westchnieniem gór. Piotr zakrył dłonią tygodnie września, i czekał. Wiedział, że ściśnięte serce rozkurczy się za chwilę z niewzruszoną pewnością.

W tej właśnie chwili zabrzmiały przerywane jęklive syreny.

—Wojna—

Przelewała się przez mózg, przez krew, czarna, czerwona, bez twarzy, bez kształtów, zgiełkliwa, ludzie biegli, padali, wznosiły się ręce i grzechotały salwy, waliły armaty i sypały się gruzy, tworzyły się rozlewiska płomieni, syczał ogień, dudniły żelazne koła—w tętnie krwi walącej w skronie, rozróżnił nagle głosy odległe i realne: warczały samoloty nad Warszawą. Irena chwyciła zimną dłonią jego rękę.

—Stało się.

Był jeszcze jakiś ostatni nonsensowy przesmyk niepewności, jakaś ostatnia ucieczka w nieprawdopodobieństwo, Irena pobięła ku radju, czekali.

„Dziś o godzinie 5-ej rano, bez wypowiedzenia wojny, wojska niemieckie przekroczyły granice Rzeczypospolitej. . . .“ Pierwszy huk przesywa powietrze, spadła pierwsza bomba na Warszawę. Była godzina 9-ta rano.

Joanna miała tego dnia zamiar zatelefonować do Piotra i umówić się z nim na miasto. Patrzała na cyferblat zegara, wybierając godzinę spotkania, kiedy po raz drugi zabrzmiały syreny. Wtedy zrozumiała nagle, że wszystkie zegary, które dotąd znaczyły godziny życia należy przestawić na jakąś jedną godzinę śmierci. Ale jeszcze nie wierzyła w realność granicy, którą przekracza jak ludzie nagle zbudzeni ze snu nie wierzą w realność dnia. Dźwięki syren nabrzmiewały i opadały. Zdawało się już kończyć i jeszcze jakaś syrena ryknęła preraźliwie. Ściany pokoju były szare, brudnawe, lata pozostawiły rysy na tynku, wokół każdej rysy owinięte były wspomnienia, które Joanna uważała dotąd za wrogie i gorzkie. Teraz dotknęła ręką ściany, to jest mój dom szepnęła, jakby tym twierdzeniem chciała uratować jakąś rzecz znikającą. Ten pierwszy wojenny alarm znaczył, że nieprawdą są mury, powały, okna. Nieprawdą jest widoczna z okna ulica o mocnym, kamiennym bruku, służącym poto, by bezpiecznie chodziły po niej nogi ludzkie. Widać jak ludzie biegną, uciekają. Jakby przeraziło ich to nagle

odkryte kłamstwo: kamienie leżą luźno, gotowe są wybuchnąć rebelją. Mury drżą i oznajmniają gotowość rozpadu. Pod przymkniętymi powiekami Joanna zarysowała się nagle jakaś droga rzucona w ciemną przestrzeń, nic nie ma na niej i nic nie ma obok, wszystkie kształty i kontury stały się teraz niepewne, niewiadomo co się ostoi po tych syrenach pierwszego dnia, o godzinie 9-tej rano.

Stara Marjanna przystanęła w robocie i uśmiechała się niepewnym uśmiechem. Trzymała w ręku ścierkę od kurzu, jak trzymała ją każdego dnia o tej samej godzinie i odłożyła ją nagle. Miłosne gładzenie powierzchni stołów, szaf i krzesel okazało się oparte na fałszywych przesłankach. Wartość rzeczy polegała przecież tylko na tem, że służyły życiu. Zegar tyka jak zawsze, wskazówka przesuwa się powoli—ku jakiejś godzinie.

Chwile po alarmie ciągnęły się długo i niewiadomo było co z niemi zrobić. Odmieniony sens wszystkich spraw zamienił się narazie na dezorientację. Joanna lubiła zwykle sytuacje nowe, niepodziewane. Miała w sobie jakąś utajoną pewność zwycięstwa—kiedy działo się coś nieprzyjemnego, ojciec się awanturował lub matka pojękiwała, kiedy nie było pieniędzy a trzeba ich było na coś ważnego, kiedy chodziła szukając pracy i nie mogła jej znaleźć nawet kiedy wybuchła awantura o Piotra czuła jednocześnie pewność: za chwilę coś zrobi. Za chwilę przyjdzie jej do głowy jakiś nowy pomysł. Skoczy w jakimś kierunku. Nieomylnie. Ojciec będzie wodził wokoło niewidzącymi oczyma. Matka będzie wierzyć tylko w zło i przegrana. W jej, Joanny ręku sytuacja rozwiąże się prosto i łatwo. Teraz okazywało się, że wszelkie rozwiązanie wszelkich sytuacji nie było jej osobistym zwycięstwem. Polegało na jakimś ustalonym biegu życia. Teraz nie było już nic ustalonego. Było zaledwie pięć minut po 9-tej.

—Może trzeba zejść do schronu?—zapytała Marjanna. Ze wszystkich zapowiedzi wojennych, ze wszystkich wskazówek, które sączyła prasa i radio w ostatnich dniach—zresztą z widoczną niewiarą, by doszło do ich użycia—ten wniosek zdawał się wypływać. Ale pisano i mówiono najczęściej o możliwych nalotach gazowych, kazano przygotowywać schrony szczelne, kazano zaopatrywać się w maski, których nie było, kazano nosić płyny antygazowe—niewiadomo co z tego wszystkiego jest prawdą. Prawdą okazały się narazie dwie bomby, które upadły niedaleko i dwa huki, po których zaszczękały szyby i zafalowało powietrze. Wojna okazała się prawdą.

Marjanna wykonywała ruchy drobne, nieskoordynowane, przesuwała krzesła, brała coś w rękę i kładła z powrotem. Gderала przytem coś o biedzie, o pomidorach, wybuchła nagłym gniewem, że nikogo niema w Warszawie—też się wybrali z wyjazdem na taki czas—i że wszystko na nią spada, rozstawiła potem szeroko ramiona i podkreślając słowa tym gestem bezradnej macierzyńskości, nakazała zejście do schronu. Joanna poddała się bez zwykłej niechęci, uzurpowana macierzyńskość Marjanny była ostatecznie punktem stałym. Trzeba było tylko jeszcze wykonać niezbędne czynności, coś coby ochroniło mieszkanie, może tem czemś jest zamykanie okien. Szyby przesłonięte były czarnym papierem, zamykając okna Joanna spojrzała na ogród, jakby chciała zachować obraz dnia takim jakim jest dotąd. Niebo było niebieskie, kwitła spóźniona piwonja, rosa była na liściach.

Dom był niewielki, niedawno zbudowany. Lokatorzy z górnych pięter schodzili na dół milcząco, jakby niechętnie, niektórzy jeszcze nieubrani, sublokator z pierwszego piętra w niebieskiej piżamie, jakaś młoda pani, która niewiadomo skąd znalazła się w domu, w męskim narzuconym szlafroku. Siwa kobieta, matka buchaltera z drugiego piętra oznajmiła wszystkim, że syn jej jest na mieście, ale zdawała się jeszcze nie wiedzieć, czy ma się o to martwić, czy nie.

W suterynie żona szofera stała przywarta do ściany i patrzyła przed siebie obłądnymi oczyma.

—Pewno tu obok rzucają, na most—powiedział szofer. Szoferowa poderwała się, otworzyła szeroko drzwi swego suterynowego mieszkania, rzuciła się na ziemię i wpychała gwałtownie głowę pod niski tapczan. Widać było jej szeroki zad i przywarte do ziemi piersi. Tapczan nakryty był różową nakrywą, leżały na nim atlasowe, haftowane poduszki. —Zwarjowałeś?—krzyczał szofer.

W klatce schodowej, jeszcze niezdecydowani stali ludzie przygodni, dwie służące z koszykami, pan z teczką, mleczarz rozwożący mleko. Patrzali no szoferową obojętnie, objęci jakimś martwym spokojem. Nachylony nad zadem swej żony szofer perswadował:—Nie wstydzisz się? Przecież ludzie widzą. Bitwa zdawała się toczyć tuż nad głowami. Między jednym hukiem a drugim przerwy były krótkie, choć zdawały się nieskończenie długie. W tej przerwie szoferowa podbiegła do mleczarza, chwyciła jego dłoń i pytała natarczywie:—Po czemu mleko? Patrzył na nią zdziwiony:—Po trzydziści groszy—rzekł, wzruszając ramionami. Cena była ta sama co wczoraj, co onegdaj. Szoferowa uspokoiła się widocznie.

W schronie stała „doktorowa z parteru,“ która dwa tygodnie temu urodziła dziecko. Cały dom był tem zdarzeniem bardzo przejęty, ponieważ wiadano, że już kilkanaście lat jest po ślubie. Zapatrzona w czerwoną twarzyczkę swej córki, doktorowa śpiewała cicho i kołysała się w takt. Potem ułożyła dziecko na ławce, przewijała powoli z lubością, ciągnęła melodię monotonna i tkliwie, jakby nie słysząc huków, tylko w pewnej chwili przyspieszyła ruchy, ponieważ do bomb przyłączył się teraz stukot karabinu maszynowego i nadawał jej ruchom swój rytm. Schron urządzony był w pralni. Joanna stwierdziła, że na piecu stoi jeszcze kocioł po „wielkim praniu,“ gumowa rura zwisa z wodociągu, tylko na stole brak mokrych zwojów i przymknięte są zielone okiennice.

Ściany pralni malowane były na zielono. Palila się mała żarówka i światło przeniknięte było zielenią ścian, huk pierwszego nalotu łączyły się z tem w jakąś nierozrwalną zieloną całość. Był to jakby nalot zielony, chłodny od wilgotnego powietrza pralni. Z dalekich dolnych warstw dzieciństwa Joanny przybiegło nagle nieoczekiwane wspomnienie—był pokój chłodny i zaciszny, na pięterku, tajemniczy pokój ojca pełen nieznanymi sprawami, w gorący letni dzień zamknięte były zielone żaluzje, cały pokój był zielony i nieznaną sprawą ojca zdawały się od tego przesiąknięte tym kolorem, za żaluzjami było słońce, zapach drzew, ciepły wiatr, brzęk much, melodia lata. W pokoju było cicho, nieruchomo, zielono. Zielona plama nad wodociągiem pralni rozlewa się szeroko, daleko, pełna jest spraw odległych i nagle bardzo bliskich, twarzy, postaci, słów.

—Dlaczego jest tak cicho?—pyta doktorowa.

Cisza trwała zaledwie kilka sekund, lecz Joanna czuła radosne zdumienie między jedną bombą a drugą, w szparach wojny jest nieskonczenie dużo miejsca, nazbieranego przez wszystkie dotychczasowe lata, zwinięte w ciasny kłębek. Na ścianie pralni skupiają się wszystkie słoneczne plamy, które kiedykolwiek padały przez zamknięte żaluzje do chłodnych pokoi, piętrzy się wiele ciepłych dni, pachnących trawą i drzewami, snują się pasma jakichś spraw, które trwały i ciągnęły się latami, które trwają jeszcze teraz nabrzmiałe, pulsujące, zielone. Zdaje się, że słyhać kroki na drewnianych schodkach, które prowadzą do pokoju na pięterku, to ojciec idzie, staje w drzwiach pokoju, i nie jest to ów ojciec niezaradny, daleki, to jest ojciec najprawdziwszy, którego każdy gest ma tajemnicze znaczenie, ojciec otwiera starą szafę, grzebie się długo w jakichś książkach, papierach, po raz pierwszy Joanna nie czuje pogardy, zielony cień pada na jego twarz, kiedy przeciągając dłonią po włosach mówi niewiadomo do kogo, bo przecie nie do niej,

która ma sześć lat: nie masz pojęcia jakie jest długie życie i co w niem się może zmieścić.

A jeśli bomba uderzy w nasz dom? —pyta doktorowa i przyciska swe dziecko do siebie, jakby teraz dopiero spostrzegła niebezpieczeństwo. Joanna uśmiecha się w odpowiedzi. Nim bomba uderzy, wiele rzeczy, które straciły wartość nabierze jej znowu, staną się żywe, zielone. . . .

—Że też wojna spada z nieba—mówi Marjanna. Siedzi na stole pralni, szerokobiodra, mocna, gruby zwał piersi opiera się o brzuch a ręce leżą na rozstawionych kolanach. Znowu pada bomba, jakaś ręka wszczepiła się w ramię Joanny i znika, Marjanna marszczy brew i powtarza pytanie:—Dlaczego z nieba? W tej walce i kołowaniu śmierci to jedno zdaje się być trudniejsze do zrozumienia, że zło idzie z góry, gdzie od stworzenia świata osiadł Bóg ze swym anielskim dworem. Przy najbliższym huku Marjanna otwiera oczy i wyciąga dłoń, jak człowiek nagle oslepy, który utracił poczucie stron świata.—Ja się śmierci nie boję, śmierci nie boję, śmierć to tylko jedna chwila a potem wieczność—tłumaczy i głos jej trochę drży.—

—A jak Niemiec umrze, to też ma wieczność u Pana Boga?—wzrusza ramionami mleczarz.

—Nie. Bo na nich spada grzech. Bo oni wojnę zrobili. To dla nas jest niebo. Dla nich piekło—Marjanna wskazuje palcem w górę i w dół, jakby przewracała temsamem naturalny porządek rzeczy. Głosem poważnym i mocnym stwierdza:—Pan Bóg jest sprawiedliwy.

Jest to ulga. Joanna nie wierzy w Boga, lecz ulgą jest mówienie o tem, jest istnienie samej sprawy, byle się ucześcić tej wiary: —Bóg jest sprawiedliwy. . . .

Wiara w sprawiedliwość trwa tylko krótką chwilę. Wstrząsa nią wybuch gwałtowny i bardzo bliski, drżą mury, z czyjegoś gardła wyrывa się okrzyk, krew uderza Joannie do głowy i zimny strach zaciska gardło. Marjanna złazi ze stołu, idzie spokojnie do drzwi schronu i otwiera je szeroko.

—Co pani robi?—wołają zatrwożone głosy.

—Poco ja tu będę siedzieć?—Pytanie Marjanny jest spokojne, niemal radosne. Stoi w drzwiach, niemal wypełnia sobą przejście. Joannie zdaje się nagle, że się załamała jakaś zaporą, że rozluźniła się obręcz ciasna, nie Bóg lecz Marjanna otworzyła drogę, i oto znowu i nagle rodzi się świadomość zwycięstwa, otwiera się możliwość nieomylnego skoku w przyszłość.

—Chodźmy—mówi Joanna do Marjanny i dziwi się radosnemu dźwiękowi swego głosu. Jest lekko i szeroko, aż dziwne jak łatwe jest przejście poza barjerę strachu. Joanna wybiega na ulicę, za nią biegnie Marjanna. Pani w męskim szlafroku i szoferowa wymachuje rękami na samym środku jezdni.

Na tle jasnego nieba widać srebrne samoloty. Takie są górne i odległe, że aż dziwne wydaje się, że dudnią działa i całe niebo obsiane jest białymi pękami dymów. Lecz nagle zniżają swój lot i widać wyraźnie, jak wypuszczają z kadłuba bomby. Z przeciwnej strony nadlatuje stado ciemnych ptaków.—Nasze, nasze;—krzyczy szoferowa. Jeden ptak wlatuje od dołu, jakby dziobem chciał rozsadzić wroga, wlatuje i opada, raz, drugi, trzeci i nagle ten od góry zachwiał się. Ktoś krzyknął. Ktoś woła: Nie wychodzić, strzelają z karabinów; Kule obijają się o mury i o dachy. Lecz ludzie już przedtem zwyciężyli. Marjanna woła: Zestrzelony!—Jej ostry krzyk przebija się zwycięsko przez strzały i huk. Ludzie biegną na oslepek, jakby tuż obok, za wągiem domu leżał trup wroga, szukają—nie widać—tylko nagle ktoś się potyka i upada. Cienka, ciemna strużka sączy się powoli po kamieniach.

Gustaw Jarema siedział przy biurku, kiedy rozpoczął się pierwszy bombo-

wy nalot nad Warszawę. Początkowo udawał, że pisze. Stara Kozłowska, gospodyni, pierwszy raz od lat zdecydowała się przeszkodzić mu „w ważnej pracy” i pierwszy raz zapomniała go tytułować. Powiedziała poprostu: Proszę pana, przecież jest wojna. To „przecież” oznaczało, że jeszcze wczoraj mówił jej niecierpliwie, że nie należy robić paniki. Gustaw stwierdził z pewną przyjemnością, że Kozłowska wyglądała jak zawsze,—tylko oczy miała szerzej rozwarte. Stała na środku wielkiego pokoju wpatrzona pytająco w niego. „Kryzys zaufania”—pomyślał.

—Nie chciałem Kozłowskiej straszyć—powiedział niedbale. Wiedziałem, że już nic nie pomoże. . . .

—Ale ja pytałam Stanisława, szofera od pani generałowej Kańskiej i on też mówił, że nie będzie wojny—Kozłowska wlepiła w niego swe czarne oczy i głos jej wyrażał krańcowe zdumienie. Tylko ten szpicel z policji mówił, że będzie, ale mu kazałam wyjść z kuchni. Przecież skoro pan minister mówi. . . .

—Niechże Kozłowska już przynajmniej teraz przestanie mnie tytułować. Nie jestem żadnym ministrem.—Chciała coś odpowiedzieć, ale zeszytywniała nagle, słuchając odległych huków. Była wysoka, chuda, czarna.

—Może ja zatelefonuję—powiedziała nagle.

—Poco?—roześmiał się sztucznie. Teraz dopiero odmalowało się na jej twarzy przerażenie. Kozłowska nauczyła się używać telefonu i jego nazwiska w każdej sprawie. Czy trzeba było połączyć na kolację, czy wina, czy chodziło o to by jej siostrzenicę przyjęto do szkoły, czy szwagier z Falenicy miał dostać koncesję na spirytus, Kozłowska szła do telefonu i mówiła spokojnie: Pan minister Jarema prosi. . . . pan minister Jarema życzy sobie. . . . Gustaw patrzył na nią ze złośliwą satysfakcją, jak Kozłowska staje wobec zjawiska, w którym telefon i nazwisko nic nie poradzą, jak zapada się jej świat.—Ciekawym co ona wymyśli? Była to jakaś zabawa okrutna, tem okrutniejsza, że przecież nie chodziło o Kozłowską, chodziło o niego samego. Nie on zakpił sobie z niej, coś zakpiło sobie z niego. Nagle porwała go złość. Wdowa po dzierżawcy, parę lat zapewne sama krowy doiła, choć się dziś do tego nie przyzna. . . . Trzy lata jest u niego i już demoralizacja stanowiska, demoralizacja łatwości, jak też to łatwo do tych ludzi przylega.

Dalekie huki wstrząsały powietrzem, Kozłowska podniosła kościste dłonie i ujęła nimi ciemną twarz, nagle zakręciła się i wybiegła z pokoju, ale przystanąła w drzwiach i krzyknęła głosem, którego nie znał: Ja tu nie zostanę;—nawet nie zamknęła drzwi za sobą.

Kozłowska zawsze jakby żałowała, że jest zdrów i mocny, że nigdy nie choruje, zdawało się, że marzy o tem, by my przynieść do łóżka wykuchczone jedzenie, by mu łyżeczką do ust podawać lekarstwa. Mawiała niekiedy: „Pan minister świetnie się trzyma, jak prawdziwy wojskowy, jak pan minister będzie już naprawdę stary—mówiła—to go na krok nie odstąpię.” . . . teraz go napewno opuści. Bóg z nią. Przeszedł to wszystko w wiek—szej skali, kiedy zrezygnował z teki. Od tego momentu zaczął się proces powrotu do samotności, jako do stanu naturalnego. Tkwiło pod tem wszystkim zagadnienie stosunku do ludzi wogóle. Przyjęta formuła brzmiała: ludzie nie są wartością. Są tylko narzędziem. Nie ma potrzeby rewidowania tego stanowiska.

Zabrzęczały szyby z powodu jakiegoś bliskiego wybuchu. Wstał, zamknął okna. Najchętniej byłby zapuścił rolety, ale to nie wypadalo. Pomyśleliby, że wyjechał. Mieszkał na parterze wielkiego domu, wielu znało okna jego mieszkania. Trzeba trzymać fason. Chodził po pokoju wielkimi krokami, jakaś książka leżała na stoliku; wsunął ją między książki na półce. Wyrównał stos gazet na długim stole, potem zaczął układać miesięczniki według dat. Rozejrzał się po pokoju, w gruncie rzeczy nie lubiał go, za bardzo jest reprezentacyjny z tym wielkim gobelinem na

ścianie, z temi stylowymi meblami. To wszystko było jeszcze z tego czasu, kiedy sam rzucił hasło: usilić pozycję polityczną stanem posiadania. Chodziło mu wówczas o to, żeby stworzyć zewnętrzne formy stabilizacji, żeby nie wyglądało: dorwali się władzy. Trzeba było tę jakąś romantyczną formę życia byłych legionistów zamienić na formę odpowiadającą hierarchji państwowej, stworzyć poprostu jakąś liturgję władzy, jakiś ceremonjał—z całą świadomością to robił. Stał teraz przed inkrustowaną komodą o brązowych okuciach, jak przed najbardziej świadomym świadkiem swoich zamierzeń i uśmiechnął się do niej: wiesz?—wojna jest. Komoda zdawała się nie wstrząśnięta tą wiadomością i trwała dalej w swych zamiarach reprezentacyjnych. Odwrócił się od niej z pogardą.

Chodząc tak po pokoju zdecydował się nareszcie sformułować pytanie, które jątrzyło się od samego rana, od pierwszej otrzymanej telefonicznie wiadomości: nabrali mnie? czy też pozwolili się nabrać? Jeszcze wczoraj otrzymał uroczyste zapewnienie, że to wszystko jest bluff i że wojny nie będzie. Były zatem dwie alternatywy. Albo przyjaciel-informator poprostu go obełgał, albo . . . przeciagnał dłońią po włosach i zakrył nią oczy. Zakręciło mu się w głowie. Równocześnie myśl formułowała się jasno i szybko. Jeśli sami wierzyli, że wojny nie będzie, to znaczy, że chcieli wierzyć. To znaczy, że nie chcieli prawdzie spojrzeć w oczy. To znaczy, że nie są przygotowani. Od tego ostatniego wniosku otwierała się przepaść bez dna.

Dochodził stuk karabinu maszynowego, działał dziwnie podniecająco. Gustaw miał ochotę wykonywać ruchy szybkie, precyzyjne—jak kiedyś dawniej. Wzamian zaczął tylko przebiegać pokój drobnym prędkimii krokami, w takt. Teraz wszystko stawało się jasne. Mimo, że się wycofał z rządu, i nie brał udziału w niczem . . . od dwóch lat, od tej nocy . . . to jednak zachował łączność z dwójką. Dostawał odpisy raportów, pamiętał doskonale alarmujące wiadomości. O zbrojeniach niemieckich na gigantyczną skalę, o przygotowaniach do wojny zupełnie bez obstępów, o koncentrowaniu pancernych dywizji blisko polskiej granicy . . . więc to wszystko było prawdą. Wywiad wojskowy działał, jak się okazuje dobrze. Kiedyś mówił o tem z Tomaszem lecz ten pokazał mu raporty dyplomatyczne. Wszystko wręcz odwrotnie, Hitler wcale nie dąży do wojny z Polską . . . Tomasz uśmiechał się zwycięsko: dwójka zawsze łączy—powiedział z pogardą—ja wierzę swoim ludziom.

Gustaw przystanął w swej zdyszanej wędrowce. Dlaczego był wtedy taki łatwowierny? Dlaczego pozwolił się tak zbyc? I na czem właściwie ta sprzeczność polegała? Dlaczego placówki dyplomatyczne informowały niezgodnie z dwójką, niezgodnie z prawdą? Zapatrzył się w jakiś flores na dywanie. Z zakamarka pamięci wyłaniało się wspomnienie jakiejś sceny prawie nie zauważonej, zapomnianej potem całkowicie. Ujrzał przed sobą jakiegoś młodego człowieka, który przyszedł do niego wieczór, bez uprzedniego zawiadomienia, bez jakiegokolwiek polecenia, wydawał się niespełna rozumu. Mówił zdyszany, nie panował nad sobą. Okazało się potem, że to jakiś urzędnik z jednej placówki dyplomatycznej. Siedział tu na tym krześle, nawet pała nie zostawił w przedpokoju. Co on mówił? Jak to brzmiało? Aż dziwne, że potrafił tak zapomnieć. Przypominał sobie dźwięk głosu i swoje uczucie, że ten głos nie budzi zaufania. Nagle cały przebieg tej rozmowy powstał niemal dosłownie w pamięci:—„Oni nie raportują prawdy, bo nie chcą się przeciwstawić oficjalnemu kierunkowi”—mówił ten jegomość.—„ja nie mogę tego wziąć na swoje sumienie . . . to jest doszukiwanie się pochwał i orderów . . . to jest rozszalała biurokracja. . . .”

To wszystko było za romantyczne, za rozchlestante—pachniało zbyt mocno intrygą dwójki. Znał się na tem. Wiedział do czego zdolna jest instytucja, która z racji swej funkcji posiada duży zakres władzy, pęcznieje

tą władzą, zaczyna działać na własny rachunek. Ilekroć o tem myślał to mu się nasuwało odległe wspomnienie stawu, w którym hodowane karpie były wielkie i wykarmione—gdyby tak nagle te karpie zaczęły zjadać ludzi. Nie ulega wątpliwości, że ten młodzieniec z sumieniem był nastany . . . a jednak. Nawet i tak mogło być, że zaklamana intryga kryła w sobie coś z prawdy. Ale teraz to już wszystko jedno.

Rozróżniał wyraźnie huk dział przeciwlotniczych, ucho miał wprawne, mógł na ślepo określić ile jest, gdzie są rozstawione. Gdyby mógł teraz stanąć na pozycji, choćby to była stracona, odpadłaby go cała rozpacz. Nagle poczuł, że z zamętu myślowego zaczyna się wyłaniać prosty plan: pójdzie do wojska. Nie pozwoli się przydzielić do sztabu. Raz jeszcze rzuci się na wspaniałą falę wojny, walki. Wiek?—cóż to znaczy. Kraj w potrzebie. Jest pensjonowany—poprostu zażąda by go aktywować, kto się ośmieli mu odmówić? Z tą przestrzeloną ręką przeszedł przecież całą wielką wojnę. Wtedy coprawda . . . lecz nie wolno wspominać. Jak najprędzej zabrać się do działania. Mundur.

Od tego słowa zrobiło się nagle jaśniej w pokoju, jaśniej w myślach. Przyszłość zarysowała się jak prosta droga. Zadzwoń na Kozłowską by przygotowała? Nie. To za bardzo romantyczne—kobieta przygotowująca mundur. Gdzie on jest? Od dwóch lat—od tej nocy—nie miał go na sobie. Prawda, mundur jest w pokoju od podwórza, który wtedy był jego sypialnią. Trzeba tam pójść.

Szedł mocnym krokiem, przeszedł pokój, przedpokój. Nacisnął klamkę. Przez chwilę zdjął go strach. Będzie ten pokój zakurzony, jak miejsce w którym nikt nie przebywa, będzie ciemny jak miejsce, w którym ktoś umarł. Otworzył drzwi i stanął. Pokój był jasny i czysty. Widocznie Kozłowska wchodziła tu i sprzątała. Przy ścianie stało łóżko proste, żelazne. Nad łóżkiem wisiała mała fotografia. Obok łóżka nocna szafka, nawet karafka z wodą na niej stała. Stół, krzesła. Szafa. To był ten pokój, w którym umarł. Podeszedł gorączkowo do szafy, by szybko wyjąć mundur, miał zamiar wiaść go i wyjść—niewiadomo dlaczego zaczął rozpinąć ubranie na sobie. Wtedy spojrzął na portret i wtedy rzuciła się na niego cała od dwóch lat zatamowana fala. Zaczęła się od pytania, gdzie jest „ten“ browning? Otworzył szufladę nocnego stolika, lecz nic w niej nie było. Zaczął szukać w szufladach stołu, pełno w nich było papierów, tych ostatnich papierów. Tego już Kozłowska nie usunęła. Zaczął wyrzucać je na podłogę, wszystkie były niezapisane, czyste, gdzie się podziały listy, które wówczas napisał? Jako gdzie? Przecież jeśli ktoś odbiera sobie życie, jeśli umiera, to listy przez niego napisane zostają wręczone przez policję, adresatom. Zatem po jego wypadku przeszukano szuflady i listy doręczono ludziom, do których były adresowane. Czy trzeba pełniejszego dowodu na to, że umarł? Przypomniał sobie zresztą, że miał w rękę—już po śmierci—dowód bardzo oczywisty. Pewne lewicowe pismo nie czekając na pogrzeb zamieściło jego nekrolog, w którym było napisane: człowiek, który był twórcą ideologii polskiego faszyzmu, człowiek, który zdradził socjalizm, który cynicznie zwrócił swą działalność przeciwko interesom polskiego ludu, człowiek, który ponosi odpowiedzialność. . . .—Za co ponoszę odpowiedzialność?—krzyknął nagle. Może za tę wojnę? Teraz też?—Schylił się, zbierał papiery i myślał przytem, że to jednak dziwne, że tego pisma nie skonfiskowano wtedy. Uśmiechnął się do tej myśli. Na tem też się znał: konfiskuje się, ale dwie godziny później niż trzeba. W ten sposób wilk jest syty, a owca. . . . oszkalowana, w takiej mierze jak potrzeba.

Nagle przyszło mu na myśl, że browning może się znajdować pod poduszką, ponieważ zawsze—od bardzo dawnych czasów—tam zwykle go kładł. Może Kozłowska położyła go tam z powrotem? Odwrócił się i wówczas wzrok jego padł na fotografię. Właściwie nic nie było widać, szara, prze-

darta była, pomięta. Nosił tę fotografię w portfelu przez całą wielką wojnę.

—Dzień dobry Ziuku—powiedział Gustaw—nie widziałem cię już od dwóch lat—uśmiechał się do niego i oczekiwał, że chmurne oczy rozblyszna na powitanie i usta zakryte opadającym wąsem rozchylą się w uśmiechu.

—Pamiętasz, kiedy powiedziałeś mi, wskazując na miejsce na czole między brwiami: „Tu jest dziecko, które ma swoje dziecięce radości i dziecięcą figlarność . . . a tu, za lewym ramieniem jest inna postać, którą nazywam paniczem z Zułowa . . . „, otóż za tem dzieckiem w tobie i za paniczem z Zułowa, tak strasznie mi tęskno. Odezwij się Ziuku i przemów do mnie głosem z Zułowa. . . .

Potem Gustaw zmienił ton: Obywatelu Komendancie; Melduję, że na zachodniej granicy Polski stoi według ostatnich raportów 70 dywizji niemieckiej częściowo zmotoryzowanej piechoty i 15 dywizji pancernych. Ilość samolotów operujących nad Polską wynosi według tychże raportów około 5,000. Własne stany wynoszą . . .

Lecz i na to nie było odpowiedzi. Wódz stał nieruchomy z szaremi chmurami nad głową i z nieodgadnionym wyrazem w zaciemnionych oczach. Więc Gustaw jakgdyby urażony, rozpoczął znowu przemowę przyjacielską. Mówił: Widzisz Ziuku, twoja śmierć i moja niby zrównała nas poniekąd i przywróciła stan pierwotnej przyjaźni między nami. Czy zechciałbyś mi powiedzieć, czy opuszczając Polskę, liczyłeś się z możliwością podobnej sytuacji i coś na ten wypadek postanowił? Czy podtrzymujesz nominację swego następcy? Czy nie zmieniasz platformy taktycznej i kierunku działania? Wiesz, że na mnie zawsze bezwzględnie możesz liczyć, jak za życia tak po śmierci. Mów! Mów!

Ponieważ wódz milczał zapatrzony w siebie, Gustaw zapomniawszy o mundurze wyszedł z pokoju i zatrzasnął drzwi za sobą.

Kozłowska wpadła na niego w przedpokoju: Panie ministrze, już jest po nalicie. Wszyscy mówią, że pobijemy Niemców. Czy pan minister jest tego samego zdania? A może . . . przybliżyła się do niego i zaczęła szeptać, może należałoby wyjechać . . . pani generałowa Kańska, wybiera się na wieś, ja właśnie telefonowałam. Moglibyśmy z nią razem. . . .

Chwycił kapelusz leżący przed dużym lustrem w przedpokoju i wyszedł na ulicę.

D.C.N.

MARJA KUNCEWICZOWA

TADEUSZ PRUSZKOWSKI

Przyszła niedawno z Polski wiadomość, że Niemcy zabili rektora Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, malarza, Tadeusza Pruszkowskiego. Trudno o śmierć, któraby bardziej urągała tym krwawym manjakom porządku! Bo Pruszkowski nie mieścił się w śmierci, tak jak nie mieścił się w życiu.

W różnych kątach świata istnieją nadal jego obrazy, uczniowie jego rozsiani na obu półkulach, dalej oglądają i malują świat z tą samą rozrzućną miłością, jakiej ich nauczył profesor. Stoi Kaźmierski dom, którego nikt inny nie mógł zbudować, tylko Pruszkowski i ten dom—nawet jeśli go zburzą—będzie istniał dalej w balladach i w powieściach. Kwitną białe fuksje z fioletowymi słupkami, które on ze słońcem polskim pogodził, między opłotkami Kaźmierzka wyją do księżycy włochate, długo-

uche spaniele, dzieci Noego i Wiedźmy—jego wychowawców, pływa po Polsce uśmiech kobiecy, łagodnym pędzlem Prusza zebrany z warg i z oczu pani Zuzi, strząśnięty na fale ciepłych wiatrów i leniwych rzek. . . . I zbyt wiele jest serc, które nie zapomną, które Prusza innym, młodszym sercom przekażą.

Ala nawet pamięci jego nie można zamknąć w czasie przeszłym, bo Tadeusz Pruszkowski był integralnym artystą, czyli obywatelą nadrzeczywistości. Był nim—rzecz szczególna—nietyle w malarstwie, co właśnie w życiu, które komponował i ustawił, jak surrealistyczny obraz.

Nie wiem, czy w celi go zabito, czy na podmiejskiem pustkowiu, czy pod murem więziennym. Gdziekolwiek legł, skłuty kulami, Polska w tem miejscu stała się bogatsza nie o jednego więcej trupa, tylko o jedno więcej zmartwychwstanie.

„Grubas“ miał wielką wprawę w zmartwychpowstawaniu. Ileż to razy—pochlapany wapnem i cynobrem—krążył w roli upiora po księżycowych malarskich festynach. . . . I przecież widziało się go nazajutrz, jak—wyświeżony—pośpieszał na plein air.

Przez tyle lat przecież mordował sam w sobie tylu najróżniejszych Pruszkowskich, nie tracąc nic ze swojej żywotności !

Kiedy się patrzyło, jak na werandzie u Berensa łyskał dowcipnym okiem z nad bigosu, któż myślał o osiemnastoletnim złotowłosym cherubinie, o legjoniście, o śpiewaku, który jak mucha w ambrze pochowany był we wnętrzościach Gargantu'y?

A kiedy Prusz, spowity w pelerynę, śpiewał przy gitarze pieśń Mściboja „O dziewicó, o dziewicó, zgubi twą cześć ten ladacó“ . . .—czy wspominał kto Prusza—hreczkosieja, zajętego uprawą regularnych włości ? Czy aktorzy kaźmierskiej chapliniady, filmu którego Grubas był scenarzystą, reżyserem operatorem i mecenasem, widzieli w nim ś.p. właściciela koncertu taksówek ? Czy legjonista, cherubin, hreczkosiej, automobilista, kinooperator prześwitywali z głębin ciała i duszy przez kurtę Prusza—lotnika ?

Te wszystkie przesłiczne dziewczyny, ci utalentowani chłopcy, hurmem otaczający zawsze profesora, kochali w nim przede wszystkim nauczyciela szczęścia—szczęścia ludzi wolnych, które nie wyczerpuje się życiem a śmierć ma za przygodę. Więc teraz, kiedy to nie jego wola odrzuciła formę, jaką sobie obrał na kolejny byt w długiej serji swoich metamorfoz, teraz tembardziej ów niez mordowany Feniks nie wyda im się zabity.

Żegnaliśmy się z Pruszem we wrześnie rano w Kaźmierzu. Powiedział: „Ja tu jednak zostanę“. Włożył na łysą głowę wielkie, jedwabiste sombrero, wziął pod pachę szczeniaczka Popusia, którego był mi tydzień temu darował „na zawsze“, przez trawnik splamiony jesienią, między różami i daljami odszedł. Za nim poszła biało-rzęsa infantka, bratanica Jadzia, poszły dwa nasze liptowskie owczarki, paw Paweł, wszystkie

zapachy ogrodu, wszystkie Kaźmierskie zwarjowane lata—poszło szczęście.

Podobno nazajutrz wyjechał także. Przed zbombardowaną apteką na Rynku wsiedli razem do skrzypiącego Fordziaka—on, polski Cólas Breugnon, szeleszcząca, pachnąca Zuzia w lokach, w różańcach, w pierścieniach, białorzęsa Jadzia, pulchna kuzynka z Krakowa, pisząca dzieciinne wierszyki, zły gąsior-Kuba, przed którym napis na bramie bandytów ostrzegał, Wiedźma, Noe, Fuksja i wiele innych urojeń. Zatrąbiwszy, pojechali w nieznaną.

Ta ostatnia, a może przedostatnia, podróż Prusza nie obowiązuje już mojej pamięci. Mnie i wszystkich jego przyjaciół obowiązują słowa: „Tutaj jednak zostanie“.

Coż stąd, że zamknęły się oczy, które tyle piękna umiały zobaczyć i tyle rozsiać pogody?

Prusz nie wyrażał się samymi oczami. Cóż że kiedyś skrzyknęła za nim jakaś furtka?

Grubas umiał wracać przez ściany.

Patrzy zatem dalej i chodzi po swoim, po naszym Kaźmierzu, po swoim świecie, po naszym. Dziewczyny w jarzębinach za nim, chłopcy z kasetami za nim, Zuzia za nim, w szumiącej krynolinie, Żydkowie-przewoźnicy, rybio-oka infantka, gąsior, fuksje i spaniele, wiślane, karminowe obłoki, a także rycerz Mścibój, zasmucony przez dziewczęc, który

—powiedział „pas“
pchnął się i zgass. . . .

I my za Pruszem—żywi, umarli, wszyscy prawdziwi, wszyscy nierealni—po pięknym, wolnym świecie chodzimy, którego oczy niemieckie w tem, ani tamtem życiu nigdy nie zobaczą.

KAROL ESTREICHER.

WOJCIECH KOSSAK.

Zmarł Wojciech Kossak w Krakowie. Odszedł artysta, co zamykał w sobie całą epokę, jeden z ostatnich realistów polskich, monachijszczyk, który sztuką swą tkwił głęboko w stylu ubiegłego stulecia.

Pochodził z rodziny, zasłużonej w kulturze narodu. Syn wielkiego Juliusza, bratanek malarza Leona, ojciec Marii Pawlikowskiej, Magdaleny Samozwaniec i Jerzego Kossaka, stryj Zofii Kossak-Szczuckiej, był sam wielkim artystą i człowiekiem niecodziennej miary. Żył lat 86, a do ostatnich chwil był pełen werwy i animuszu, jak obrazy które malował, jak życie które przeżył.

Urodził się pod dobrą wróżbą, bo w Nowy Rok 1857 r. w Paryżu. U kolebki jego stała muza malarstwa. Ojciec rzuciw-

szy pandekta i kodeksy ruszył w świat uczyć się sztuki. Oparł się Juliusz aż w Paryżu, do którego wtedy rzadko kto z Polaków na studia malarskie przyjeżdżał i wstąpił do szkoły Horacego Verneta, najznakomitszego batalisty epoki. Uczeń został przyjacielem mistrza. Vernet widział w Juliusza Kossaku swego następcę. Gdy syn przyszedł na świat Vernet trzymał go do chrztu, wyznaczając mu drogę życia.

Juliusz Kossak wrócił do Warszawy, gdzie kierował stroną graficzną Tygodnika Ilustrowanego w dobie powstania styczniowego. Syn pamiętał powstanie tym lepiej, że stryj Leon, który bił się pod Bemem na Węgrzech, a potem w Australii w kolonialnej armii angielskiej, wrócił na wieści o powstaniu i ranny pod Kobylanką zawleczony został na Sybir. W roku 1869 osiadł Juliusz Kossak w Krakowie, w małym dworku na Zwierzyńcu. Gdy ojciec konie malował syn zaczął go naśladować. Z przeznaczenia losu miał także być malarzem, z tradycji miał pociąg do malarstwa konia, wojen i przygód, z krwi Kossaków artyzm.

Juliusz Kossak reprezentował w naszym malarstwie kierunek romantyczny. Jego obrazy, w których koń jest głównym tematem, są pełne delikatności ujęcia i rysunku, mają wdzięk i nawet w najbardziej ruchliwych scenach, najbardziej zgiekłych i zaciekłych epizodach wieje z nich jakaś taneczna lekkość, która z prawdą życia mało ma wspólnego, lecz ileż zawiera w sobie czaru. Ilustrator przeszłości polskiej, miłośnik staropolszczyzny, rysownik zawołany — żywił Juliusz Kossak romantyczne, Polowi najbliższe uwielbienie dla szlacheckiej przeszłości.

Kiedy kilkunastoletni Wojciech wstąpił do krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych uczył się pod Łuszczkiewiczem i Cynkiem. Nie został nigdy, o ile mi wiadomo, uczniem Matejki. W r. 1872 pojechał do Monachium, bo do Monachium jeździli wówczas wszyscy: był to przecie szczytowy okres realizmu.

W Monachium studiowało wielu polskich rówieśników Wojciecha. Nazwiska ich zabłysnęły nietylko w Polsce: Axentowicz, Lentz, Czachórski, Chełmoński, Wyczółkowski, Malczewski, Gierymscy, Fałat dłużej lub krócej przebywali w Monachium ucząc się w rozmaitych malszulach. Przede wszystkim jednak osiadł na stałe nad Izarą Józef Brandt, uczeń Juliusza Kossaka i przyjaciel, który cieszył się powodzeniem w całych Niemczech.

Realizm w malarstwie nakładał na artystę obowiązek obiektywizmu w stosunku do natury. Tak przynajmniej wierzono w tej epoce pozytywizmu filozoficznego, że malarz również winien być racjonalny, siebie wyeliminować i swoje nastroje, a opierać się wyłącznie na modelu. Krajobrazy malowano w pracowniach z nieodzownym górnym światłem, a o wyjściu w pole z kasetą i paletą mało kto myślał. Najpierw studiowano

kompozycję, potem naturę, a czym cień czy promień światła to wiedzano przez zaciąganie stór na szklanych dachach wielkich atelier.

Gdy ojciec był romantykiem, syn został realistą. Juliusz Kossak hodował tematami hippicznymi i bitewnymi i syn został im wierny, ale inaczej. Temperament miał ten sam co ojciec, może nawet szerszy, jeszcze huczniejszy, lecz styl posiadał odmienny, który sprawił, że nie ma podobieństwa w ich obrazach.

Rzadko artysta tworzy dla siebie tak jak chce, jak czuje czy pragnie. Życie zmusza go często do pewnych tematów, przy których zostaje, w których się specjalizuje. Nie tylko dziś, ale zawsze tak było i Michał Anioł nawet poddać się musiał woli Juliusza II i męczyć się i narzekać, że mu każą dekorować Sykstyńską kaplicę.

Mało kto z artystów polskich tak jak obaj Kossakowie wyrobił sobie klientelę i szedł po linii jej gustów i żądań. Klientela pracowni narzuciła Wojciechowi styl tak jak narzucała jego ojcu.

Juliusz Kossak malował dla bogatej szlachty polskiej. Lubił życie wiejskie, jeździł po dworach podolskich i ukraińskich, a gospodarzom swoim malował stadniny Mohorta lub sceny husarskie i kozackie. Przy tej sposobności portretował także ulubione wierzchowce pańskie, należycie polepszając ich rasę lub konie cugowe zaprzężone do eleganckiego faetonu, w którym siedział potomek kresowych rycerzy. Niemal w każdym dworze na Ukrainie przed pierwszą wojną wisiał obraz Juliusza Kossaka — w bawialni czy w bibliotece, zależnie od tego czy husarię polską czy konie właściciela przedstawiał.

Wojciech Kossak poszedł do wojska w r. 1877 i służył w krakowskim pułku c.k. ułanów. Rok służby wojskowej zdecydował o jego klienteli i kierunku jego malarstwa. W wojsku, w życiu garnizonowym zakochał się i został batalistą. Pojechał jeszcze do Bonneta do Paryża, nauczył się wiele, rozjaśnił sobie paletę, ale nad wszystko ciągnęły go manewry, które bataliście dostarczały tych samych wrażeń co wojna. Oficerowie, garnizony, kasyna wojskowe oto pierwsza klientela Wojciecha Kossaka i obrazy głównie dla niej malował. Ćwiczenia w Galicji, artyleria na poligonie, szturm piechoty i ataki huzarów, a obok tego portrety generałów dowodzących w ogniu manewrów, rewie i przeglądy, malował Kossak w czasach gdy wojny nie było. Lubił życie pułkowe, ciągnęło go swoją barwnością. W różnych kasynach wojskowych sceny z historii pułków pendzła Wojciecha Kossaka zdobią ściany salonów do dzisiaj.

Ale czas przypomnieć, że równocześnie jest to ten okres Kossaka gdy stworzył kilka znakomych obrazów a malował je z myślą głębszą i z najszlachetniejszym uczuciem. „Czwartacy“ potem „Olszynka Grochowska“ wreszcie „Wspomnienie

Dzieciństwa“ i „Krwawa Niedziela“ uczyniły sławnym imię Wojciecha Kossaka w Polsce.

Ukazał się w nich dojrzałym malarzem, który miał wyćwiczone oko i rękę w perspektywie i kompozycji; podnosił wartość jego obrazów pejzaż. Któż nie pamięta bohaterskiego czworoboku pod Grochowem? W środku, w cywilnym stroju, otoczony sztabem siedzi na koniu Chłopicki. Kilka postaci żołnierskich zostaje w oczach widza: ów piechur odgryzający nabój stał się klasyczną postacią z powstania listopadowego. Nieśmiertelna kreacja Solskiego w „Warszawiance“ tu wzięła początek. Tętno bitwy, grozę i poezję chwili oddał Kossak znakomicie. Za ten jeden obraz wart Kossak aby nazwać go wielkim batalistą.

W r. 1893 Jak Styka powziął plan by na zbliżającą się setną rocznicę powstania Kościuszki wystawę krajową we Lwowie ozdobić wielką panoramą bitwy Raclawickiej. Styka umiał przeprowadzać swe patryotyczne przedsięwzięcia i wyszukiwać na nie pieniądze. Malarstwo panoramiczne było w ubogiej Polsce nieznanne, ale na Zachodzie od szeregu lat święciło tryumfy. W epoce gdy kina nie znano, panoramy dawały złudę życia, dreszcz weryzmu i podobały się szerokiej publiczności. Malarze niemieccy zarabiali świetnie na panoramach. W Berlinie sławę i majątek zyskał Antoni Werner, twórca panoramy Sedanu i do niego udał się Styka i Kossak na studia, gdy kapitał na ten cel uzyskano.

W ciągu półtora roku zamalowano z pomocą kilku młodych malarzy (Axentowicz, Tetmajer, Wodzinowski, Rozwadowski, Popiel) olbrzymie płótno, na którym przedstawiono całość bitwy Raclawickiej. Niemal połowę płótna zajmuje tam atak kosynierów na piechotę i armaty moskiewskie i tę malował Styka, reszta t.j. ataki kawalerji narodowej na jegrów, walkę regimentu Wodzickiego oraz wiele szczegółów stworzył Kossak. Pomiędzy jego scenami a Styki zachodzi widoczna różnica pendzla. Kossak ma większy rozmach, jest bardziej realistyczny, dramatyczniejszy, maluje szczerzej, łącząc z fantazją batalisty znajomość historyczną szczegółów.

Panorama Raclawicka nie jest dziełem przełomowym, wyznaczającym nowe drogi sztuce, ale lekceważyć wysiłku artystycznego i talentu obu twórców włożonego w dzieło nie można. Koloryt obrazu jest szlachetny, krajobraz piękny, może trochę za monotony, ale takie są Raclawickie pola. Złudza rzeczywistości, weryzm — a ten był jednym z założeń artystycznych obrazu — osiągnięto w stopniu doskonałym. Więc odpaść muszą pewne usterki, które raczej na karb Styki, niżeli Kossaka wypada policzyć.

Jakież znaczenie miała ta panorama dla Lwowa! Kto o tem zapomina a tylko czystych jak woda doznań artystycznych szuka, popelnia omyłkę Winckelmanna, który w konsekwencji doszedł

do wniosku, że idealne piękno nie może być widoczne. Panorama Raławicka pobudza uczucie, zaciekawia, rozrzuwina — a to było hasłem epoki i stylu. Miała trafić do najszerzych mas i trafiła. Miała mówić o chłopskim czynie i o jego twardej pięści i powiedziała. Zbliżyła lud do historii polskiej, unao-czniła mu, że jest ludem polskim. Z całej Galicji ciągnęły chłopskie pielgrzymki przed obraz i rozumiały go, dziatwa Lwowa gapila się na panoramę i tam uczyła się gorącej wiary kresowej.

Syty sławy, ciekawy świata i ludzi, ruszył Kossak zagranicę szukać powodzenia. Kraków był mu za mały, aby w nim mieszkać stale, za ubogi aby mógł w nim znaleźć klientelę trwałą a bogatą. Połączył się z Fałatem, swym rówieśnikiem i kolegą monachijskim i w Berlinie przystąpili do zmontowania drugiej panoramy, tym razem przedstawiającej Berezynę. Śniegi, lody, rzekę, mróz i mgły machnął Fałat — konie i ludzi Kossak. Dzieło wywołało znowu wrażenie, znowu sławę przyniosło. Zadziwili się Niemcy rozmachem polskim, jaki w obraz wnieśli obaj malarze. Stary Menzel chwalił malowidło, które niestety nie przetrwało. Pocięte rychło, sprzedawane było na sztuki przez autorów.

Osobliwe były to lata gdy propagandę dla Polski robili w całym świecie artyści: Modrzejewska, Reszke, Bandrowski, Paderewski, Rodakowski, Siemiradzki, Brandt i tylu innych zdobywając sławę, podkreślali że są Polakami przy sposobności każdego oklasku. W rzędzie tych artystów, którzy w Niem-czech stwierdzali na każdym kroku swą polskość, postawić trzeba Kossaka i Fałata. Fałat malował polowania i krajobrazy, Kossak manewry i bitwy. Dla Polaków, żyjących w zaborze pruskim, fakt iż dwaj artyści polscy byli pierwszymi malarzami dworu, posiadał wielkie znaczenie.

Wtedy przyszła słynna mowa malborska Wilhelma II przeciw Polakom, która wyzwalala tę odwieczną nienawiść, jaka tkwi w duszy niemieckiej. Nie wahał się Kossak ani chwili. Zamel-dował w adjutanturze cesarskiej hucznie z gestem i protestem, że zrywa swe stosunki z cesarzem, bo nie myśli wrogowi swego narodu malować. Wystąpienie Kossaka wywołało wielkie wrażenie w całej Polsce, dawało bowiem społeczeństwu swoistą satysfakcję za obrazę.

Potem przyszła wojna światowa, Legiony do których przeszedł z ułanów austrijackich, obrona Lwowa, potem wojna 1920 r. i wypadki same nasuwały Kossakowi tematy, które malował łatwo, szybko, zgrabnie, może nie z tym uczuciem co w latach młodości, ale z niewątpliwem mistrzostwem technicznym. „Wpadł w rutynę“ — mówili malarze — ale widzów zawsze wzruszały jego bitwy. Z tą samą łatwością co dawniej, teraz zamiast Samosierry malował Rokitnę i ułana z dziewczyną — zamieniając jedynie granatowe mundury na szare.

Impresjonizmu nie zauważył i nie wprowadził do swoich obrazów. Przeszedł mimo niego i nie miał dla światła, które formę moduluje, zrozumienia. Fałat, Malczewski, Tetmajer, Axentowicz, Wyczółkowski realizm porzucili i przyjęli odkrycia Francuzów, nawet Chełmoński zmienił się pod ich wpływem. Kossak pozostał wierny swojemu stylowi. Malował szeroko, w kolorach niezawsze bywał trafny, ale zawsze poprawny. Gdyby obrazy swe bardziej wypracowywał, możeby doszedł do wyników głębszych. Niepodobna mieć do niego pretensji, że nie był impresjonistą, wszelkie wymagania w tym kierunku są bezprzedmiotowe. Współcześni mogli na niego jeszcze wygadywać — co też Młoda Polska nagminnie czyniła — my ten punkt widzenia odrzucmy i pochylmy czoła przed dziełem, które zostawił. Sztuka nie składa się z programów, tylko z talentów. A Kossak talent miał.

W dziejach naszego malarstwa Wojciech Kossak zajmie miejsce obok Rodakowskiego, Pochwalskiego, Lentza, Brandta — a więc w rzędzie najcelniejszych artystów realizmu. Pamięć o nim nie zaginie jako o malarzu wojska polskiego. Póki ono istnieć będzie zawsze dzieje ostatnich wojen będzie widzieć oczami Wojciecha Kossaka. Narzucił pewien styl, za którym poszli inni nasi bataliści z Rozwadowskim i Batowskim na czele. Udatnie też niekiedy naśladował ojca syn Jerzy.

Długo nie zaginie także pamięć o Wojciechu Kossaku jako o człowieku. Był jednym z najbardziej czarujących ludzi swego pokolenia, pełen rozmachu życiowego i temperamentu, gaduła tryskający humorem i inteligencją. Sportowiec zawołany przede wszystkim uprawiał jazdę konną. Jeden z pierwszych w Polsce jeździł samochodem, wywołując sensację po wsiach.

Życie kochał Wojciech Kossak. Zarabiał dużo i wydawał jeszcze więcej. Stąd zawsze weksle, które podpisywał z gestem wielkopańskim, ale i skrupulatnie spłacał, gdy po manewrach lub po święcie pułkowym przywoził pieniądze za portrety i batalie. Miał wybitny talent literacki, który objawił się w pamiętnikach oraz w felietonach. Widział wiele, bawił na dworach monarchicznych i wielkopańskich, wszędzie kompan niezrównany a w dobrym stylu. Gdy po Wojnie Światowej wybrał się do Paryża i tam cieszył się powodzeniem. Namalował portret Focha, poczem ruszył do Ameryki portretować generałów i gwiazdy filmowe na koniach. Choć był człowiekiem starym, lat nie czuł i nie czuło się ich u niego. Po katastrofie wrześniowej wrócił do cichego dworku na Zwierzyńcu w Krakowie, skąd kiedyś wybrał się w świat. Gdy zmarł z pewnością żegnało go rodzinne miasto w smutku głębokim, bez słów, bo niewolno w Kraju powiedzieć kim był dla niego Wojciech Kossak.

„KRAJ LAT DZIECINNYCH“

Kiedy niedawno słuchałem opowiadania wybitnego lwowskiego działacza socjalistycznego, który świeżo powrócił z Rosji, wśród wielu jego spostrzeżeń uderzyło mnie szczególnie jedno. Podkreślał on kontrast, jaki istnieje między nastawieniem przeciętnego Polaka, wychowanego na naszej literaturze, a częściowo i naszej historiografii, który mówiąc o dalekich kresach wschodnich, o Ukrainie czy Białorusi, zawsze ma na myśli urobienie kulturalne tych ziem przez wpływy polskie,—a odczuwaniem rdzennej ludności tych ziem, Ukraińców czy Białorusinów, która polskości nie lubi, odnosi się do niej wrogo, gdyż dla niej polskość niestety utożsamia się z wyzyskiem gospodarczym polskiego ziemiaństwa. Ów działacz, który poznał z autopsji te ziemie, a w więzieniach spotykał się z wielu ludźmi, pochodzącymi z kresów wschodnich, z żalem stwierdzał, że dla Ukraińców i Białorusinów pojęcie Polaka utożsamiało się z pojęciem znieprawdzonego „pana“, że ludzie ci nie dostrzegali niewątpliwych wartości kulturalnych reprezentowanych przez polskie ziemiaństwo, gdyż były one przesłonięte przez klasową preponderancję, wyzysk ekonomiczny, a niekiedy i złe odnoszenie się tej warstwy do ludności autochtonicznej. Z tego faktu wypływały dla ogólnych narodowych interesów polskich wnioski wysoce niekorzystne: ludność tych ziem nie dostrzegała i nie domyślała się nawet istnienia innej Polski,—realnej polskiej struktury społecznej, jaka się wytworzyła na przełomie XIX i XX wieku, struktury kształtowanej przez chłopą, robotnika czy pracującego inteligenta.

To wrażenie lwowskiego socjalisty przypominały mi się, gdy przeczytałem zbiorową książkę pisarzy emigracyjnych. „Kraj lat dziecinnych“. Usławiłem sobie wówczas, że gdyby ta książka wpadła w ręce owych Ukraińców czy Białorusinów, musieliby ją uznać za najoczywistszy dowód słuszności swoich odczuć, tak dalece bowiem brana w swej całości, oddycha ona i paruje atmosferą nie tylko szlacheckości w dobrym tego znaczeniu, ale i szlacheczyzny z wszelkimi wadami i śmiesznościami, przywiązanymi do tego pojęcia. Pomyślałem wtedy także, że gdyby ta książka wpadła w ręce niezwykłego nam cudzoziemca, znającego język polski to znalazłby on w niej świetnie zebrany materiał dowodowy potwierdzający tezę, że Polska była zacofanym w swej strukturze socjalnej krajem wielkich właścicieli ziemskich.

Przytoczone okoliczności czynią z „Kraju lat dziecinnych“ nieobojętny i niebłaży preparat socjologiczny. Chcę też tutaj omówić książkę wyłącznie z tego—społecznego—punktu widzenia, zostawiając całkowicie na boku jej walory artystyczne, które w jednych wspomnieniach zaznaczają się słabiej, w innych silniej i mogą być przedmiotem osobnej analizy.

Ta książka daje obraz skrzywiony i w pewnym tego słowa znaczeniu karykaturalny „kraju lat dziecinnych“ Polski. Utrwała także spaczona i fałszywe wyobrażenie o podłożu socjalnym, z którego wyrasta i wyrasta świat polskiej literatury. I tu zaraz trzeba jaknajmocniej podkreślić, że fałszywa proporcja jaką w obrazie Polski i piśmiennictwa, usiłuje narzucić ta zbiorowa książka, jest winą nie tyle poszczególnych autorów, ile redaktorów. Za jej inicjatorów i wykonawców można uważać p. Ksawerego Pruszyńskiego i p. Mieczysława Grydzewskiego. Umysłowość i predylekcje redaktorów zaciążyły na kompozycji książki. Nie będę chyba daleki od prawdy, jeśli powiem, że ten nadmiar szlacheczyzny, jaki się wciąż przelewa przez karty tej książki, ów zalew hrabiów, karet, lokajów, służby, bon, można zapisać na konto p. Pruszyńskiego. Na konto drugiego redaktora można zapisać przyjęcie bardzo nieokreślonej i chwiejnej zasady talentyzmu jako kryterium doboru autorów. „Pisanie jest sprawą talentu“—czytamy

w przedmowie. Na takich kryteriach zbudowana powstała dziwna książka pisarzy, w której jest Wieniawa—Długoszewski, czy B. Leitgeber, ale nie ma Tuwima, czy Wierzyńskiego, brak Pawlikowskiej, Wittlina i Słonimskiego.

Ale mniejsza o te pomyłki personalne. Istotniejsze są skrzywienia rzeczowe. Książka nie daje geograficznego przekroju różnych ziem polskich. Sami redaktorzy tłumaczą się z tego w przedmowie, pisząc, że „polskość tej książki ciąży jeszcze wciąż silniej w kierunku Dniepru, niż w kierunku Odry“. Nie wystarczy się jednak do tego przyznać i uznać, że tak być może lub powinno, gdyż to wytwarza zupełnie opaczne pojęcie o literackiej geografii Polski.

Przecież są tu takie luki, które sprawiają, że obraz, jaki się wyłania z tej książki dobrze nadawałby się do Polski wieku XVI czy XVII, ale nie do Polski przełomu wieku XIX i XX. Przecież gdy dziś całe nasze myślenie i odczuwanie zwraca się ku zachodnim dzielnicom Polski—w tej zbiorowej książce polskich literatów nie ma ani jednego wspomnienia ze Śląska, Pomorza, Warmii czy Spisza. Gdy dziś w uczuciowości Polaka obrona walk wrześniowych i uporczywy, głuchy, twardy opór wysuwają Warszawę na czoło naszych myśli i tęsknot, darmobyś szukał w tej książce obrazu Warszawy, bo jeśli nawet jest, to raczej jest to obraz karykaturalny widziany oczyma „wrogiego nastawienia dziecka z kresowego pałacu“ (A. Sobański, str. 260). Nie ma tak samo w tej książce obrazu miasta czy miasteczka prowincjonalnego, obejtnie czy dawnej Kongresówki czy Małopolski.

Góruje Wschód. Mówi się tu o Płoskirowie, Humaniu, Bachmaczu, gubernii Witebskiej czy Starym Konstantynowie,—ale nie mówi się w tej książce o Łodzi czy o Płocku, Kielcach czy Sandomierzu, Tarnowie czy Rzeszowie, Stanisławowie czy Tarnopolu. To pierwsze poważne skrzywienie.

Ale jest drugie jeszcze istotniejsze : społeczne. W tej książce nad miastem góruje wieś—a raczej ściślej mówiąc, dwór ziemiański,—bo chłopów widzi się tylko „jako olbrzymich, czarnych w kozuchach baranich o silnym odorze skóry, łoju i potu“ (Ks. Pruszyński, str. 215). Góruje ziemianstwo nad wszystkimi innymi warstwami. Naliczyłem wszystkich sześć wspomnień osób ze środowiska mieszczańsko—inteligentkiego, gdy natomiast wspomnień ludzi ze świata szlacheckiego jest dwanaście. Co jeszcze zaś bardziej charakterystyczne to całkowity brak, ani jednego wspomnienia, osoby, któraby wychodziła ze świata chłopskiego czy robotniczego.

I to jest najważniejszy błąd tej książki. Daje ona całkowicie fałszywe i mylne wyobrażenie o polskiej strukturze społecznej. To prawda, że twórcami kultury XIX wieku w Polsce byli w lwiej części synowie szlacheccy, że dopiero u końca XIX wieku zaznaczył się dopływ elementów z nowych warstw społecznych, z klasy chłopskiej i robotniczej. I to jest prawdą, że wielkie prądy w życiu duchowym naszego narodu, zarówno romantyzm jak i pozytywizm, są nieodrodnymi dziećmi kultury ziemiańskiej. I to nie mniej jest pewne, że element ziemiański odegrał olbrzymią rolę w tworzeniu nowoczesnej ideologii społeczno—politycznej Polski XIX wieku, jak i całego naszego ruchu niepodległościowego.

Ale nie mniej jest także prawdą, że w odrodzonej państwowości polskiej, na przestrzeni lat 1918—1939, żywioł ziemiański—szlachecki nie odegrał w życiu społeczno—politycznym i kulturalnym żadnej twórczej roli w większym stylu. Prawda, że parę nazwisk—Pawlikowscy z Medyki. Edward Krasieński, Czartoryscy w Sieniawie—świeciło przykładem ofiarności na cele kulturalne, ale to byli tylko kontynuatorzy tradycji mecenatu kulturalnego wieku XIX. Nowych objawów tej ofiarności nie było. Wyżywała się ta warstwa w wyścigach, i polowaniach, jej twórczość nie wychodziła poza objawy schyłkowego epigonizmu.

Tymczasem książka „Kraj lat dziecinnych“ podsuwa nieudolnie opaczne

domniemanie, jakoby jedynym podglebieniem, kulturalnie płodnym była Polska ziemiańska. Kto wie, czym w okresie Młodej Polski była twórczość Kasprówicza, Orkana, Reymonta; ten dobrze zdaje sobie sprawę z upraszczającego charakteru sugestii, jaką płynie z kart „*Kraju lat dziecięcych*“. Tak było z końcem XIX wieku, cóż dopiero mówić o literaturze Polski lat 1918—1939, w której udział elementu miejskiego, chłopskiego i robotniczego był coraz silniejszy. O tym głucho w książce pisarzy emigracyjnych.

Wśród pisarzy z środowiska szlacheckiego występujących w tej książce, niektórzy zdolni są do daleko idącej obiektywizacji swoich przeżyć czysto osobistych, usiłują podchwycić rytm narastających przemian obyczajowo—kulturalnych czy polityczno—narodowościowych. Ta cecha uwydatnia się we wspomnieniach Jerzego Stempowskiego czy Mariana Kukieła. Szkic Stempowskiego uważam osobiście z punktu widzenia historyczno—kulturalnego, jako materiał dla charakterystyki przemian obyczajowych na Ukrainie, za najciekawsze i najlepsze wspomnienie całej książki. Jest to wspomnienie, które pozwala istotnie głęboko wniknąć w nurt życia ziemianstwa na kresach wschodnich. Nie jest to moje osobiste tylko wrażenie, podobny sąd wypowiedział niedawno Żyd—sjonista, zajmujący poważne miejsce w angielskim życiu politycznym i naukowym, który zna z autopsji te strony. Także wspomnienie Pruszyńskiego maluje bardzo plastycznie, choć nie bez śmiesznośc snobizmu szlacheckiego, polskie środowisko ziemiańskie Wołynia.

Ale inne wspomnienia osób ze świata ziemiańskiego tak silnie są zakotwiczone w tym środowisku, w jego upodobaniach, w jego formach reakcji i odczuwań, bez względu na to, czy one są w jakiejś proporcji słusznej do reakcji innych środowisk społecznych, że dziś na tle zmiennej rzeczywistości społeczno—politycznej wspomnienia te nietylko są nieco anachroniczne, ale nawet niekiedy drażniące. Co kogo dzisiaj obchodzić może ów „sztab bon i guwernantek“ A. Sobańskiego? Czy to nie wygląda dziwnie, gdy Kazimiera Iłakowiczówna mówi o pokojowej czy lokaju we dworze, jako o „niższych zjawach“ (str. 106), lub gdy naiwnie usiłuje wytłumaczyć jasne zjawiska społecznej zależności niewczesnymi patriarchalnymi sposterzeniami w rodzaju takiego np. zdania: „Wiem, że w owych czasach płaca była mała, ale zato obowiązywały stałe i duże świadczenia w odzieży, sukniach, butach, paltach, chustkach, fartuchach. Dwór w Bałtynie musiał jednak być spory jeśli potrzeba było tyle osób obsługi“. Czyż to jest na czasie, byśmy się mieli zachwycać, że dwory polskie na Inflantach stale utrzymywały bony Niemki? Czyż nie jest zawstydająca taka hierarchia doznań polskiej poetki: „W dzieciństwie po zastanowieniu widzę tylko trzy krzepiące czynniki—krajobraz, zwierzęta i służbę,—czynniki, z którymi można było współżyć bez wstrząsów“ (K. Iłakowiczówna, str. 105).?

Od czegoż jest redaktor książki, jeśli pozwala na umieszczenie tak osobliwej wypowiedzi, jak we wspomnieniu Sobańskiego (str. 270), który konstatuje, że w Polsce powojennej „przyszła niszczylińska zawiść reformy rolnej“, chociaż powszechnie wiadomo, że reformę rolną tak niezbędną dla uzdrowienia wadliwej struktury społecznej w Polsce storpedowała przed majem 1926 Narodowa Demokracja, a po maju, zwłaszcza po pakcie Piłsudskiego z konserwatystami w Nieświeżu, została myśl o niej całkowicie zarzucona.

W tej książce nie brak przebłysków krytycyzmu wobec warstwy szlacheckiej, np. trafny sąd Górki na str. 70 o Podolakach, czy nawet niekiedy w uwagach Pruszyńskiego, który słusznie stwierdza, że „feudalna struktura ziem kresowych stawała się zbyt słaba wobec naporu zagadnień“, że wobec nadchodzącej burzy dziejowej „ogromna większość pozostała bezradna, oszołomiona ogromem wypadków, jakie nadciągały“ (str. 237).

Ale te rzadkie odruchy zdrowego rozsądku rozplywają się w jakimś

ślepy, bałwochwalczym rozpamiętywaniu przeszłości, która nie wróci, albo jeszcze gorzej,—w tępej klasowej megalomanii, która w swojej warstwie tylko widzi podstawy narodowego bytu.

P. Karol Zbyszewski nawet nie zdaje sobie sprawy, jak cała jego cyniczna, brutalna szczerść jest jednym aktem oskarżenia szlachty polskiej na Ukrainie. Na str. 369 stwierdza on, że w obliczu rewolucji komunistycznej „ziemianie co od wieków mieszkali na Ukrainie, co za swą misję dziejową uważali tkwić tam, trwać, trzymać polskość—zostali“. Te jednak obrazki, które daje sam na poprzednich stronach książki właściwie każą każdemu Polakowi jak najmocniej odżegnać się od takiej „misji dziejowej“.

„Wojny zupełnie nie czuło się na Ukrainie. Tyle, że czasem ustąpiłem w tramwaju miejsca jakiemuś ranneńhu. Życie płynęło wesoło, cena buraków i pszenicy szła w górę, ojciec kupił nowy majątek na Podolu, potem parę kamienic w Kijowie, ale żeby nie wyjść z wprawy narzekał ciągle i zasiadając do wili złożonej z 18 potraw, westchnął :

—Spraw Panie Boże, by te ciężkie czasy skończyły się nareszcie i byśmy doczekali lepszych !

Ziemiańskie mieli zwyczaj jeździć raz na rok na południe, przeważnie do rulety w Monte Carlo, dla poratowania zdrowia. Znałem już Riwierę i Wenecję, teraz wobec becznej wojny, musieliśmy się zadowolić Krymem“ (str. 365).

„Rewolucja zadziwiła polskich ziemian. Przestraszyła co mądrzejszych. Cara uważali za naczelnego stróża swych majątków, wcale nie mieli zamiaru wymawiać mu posady ; ale ostatecznie gwizdnąć na stójkowego nie wydawało się tak trudne : czemu Kierenskiemu miał to gorzej robić od Romanowa ? (str. 367).

„Wejście Niemców do Kijowa powitano z ulgą. Ustały pogromy, znowu zapanał porządek, znowu cena buraków poszła w górę“.

„Czas okupacji niemieckiej, operetkowego hetmana Skoropadskiego, były ostatnimi chwilami świetności Kijowa. Łały się pieniądze, jakiś szal zabaw ogarnął wszystkich, teatry, restauracje przepełnione, wizyty, bale, monstre—bridze, rodzice nigdy przed ranem nie wracali do domu. Było to nerwowe podniecenie suchotnika przed ostatnim krwotokiem, namiętna chęć użycia przed instynktem wyczuwaną ostatnią zagładą“ (str. 368).

Oto są obrazki życia polskiej szlachty na Ukrainie w ujęciu człowieka, który wyrósł z tej warstwy, oto jak wyglądała w codziennej praktyce życiowej „misja dziejowa“ ziemiaństwa.

A inny publicysta tej warstwy na innym miejscu tej książki stwierdza z niemalym tupetem :

„ Jesteśmy rezerwuarem twórczego entuzjazmu dla całej Polski, nasza drobna szlachta dała Polsce Mickiewicza, nasza średnia szlachta—Kościuszkę i Traugutta, nasza półmagnateria największego ze wszystkich—Piłsudskiego. To tak jak Żydzi wileńscy dla świata żydowskiego są najbiedniejsi ze wszystkich i są wyrocznią w sprawach żydowskich. Tak i my dla Polski—jesteśmy najbiedniejsi, jeśli o nas pomyśle, widzę ziemię biedną i chłodny deszcz padający na wół zamarznąłą udę końską, i oto jak Polska od nas odejdzie, przestanie być Polską“ (str. 179, Mackiewicz).

Gdy się czyta tego rodzaju wynurzenia, w duszy niejednego Polaka budzi się głębokie pragnienie, żeby Polska jaknajdalej i najgruntowniej mogła odejść od takiej szlachetczyzny, jakiej próbki prezentuje „*Kraj lat dziecinnych*“.

Jest wreszcie trzecia luka dość kłopotliwa i zawstydająca, jeśli idzie o świat polskiej literatury w tym ujęciu, jaki się wylania z „*Kraju lat dziecinnych*“. Czytelnik szuka i pragnąłby się dowiedzieć, jaka była rola książki czy sztuki, prądów umysłowych czy przeżyć artystycznych w kształtowaniu poglądu na świat naszych pisarzy. Spotyka go tu jednak wielki zawód. Trzeba ze smutkiem stwierdzić, że ta rola była raczej nikła. Tylko ze wspomnień Terleckiego, Nowakowskiego, Kukiela, Górki, potroszę Pruszyńskiego, można wyczytać jaki był wpływ Żeromskiego czy Wyspiańskiego, lub Sienkiewicza, Matejki lub Grottgera na uformowanie ich poglądu na świat czy rozbudzenie wyobraźni artystycznej.

Tak samo gubią się lub płaczą tylko niezaradnie w masie drobnych, łałych faktów autobiograficznych wielkie zdarzenia polskiego życia dziejowego. Ze wspomnień Kukiela, Górki, Terleckiego wylania się siła tradycji r. 1863. Reakcję kresów wschodnich wobec Żydów, źródła ich awersji do anty-

semityzmu, można śledzić u Stempowskiego, Pruszyńskiego i Sobańskiego. O życiu ideowym młodzieży trochę szczegółów dorzuca Górka i Karpiński, ale ileżby o tym mógł powiedzieć ciekawego Marian Kukiel? Atmosfera miast przebija się potrosze w wspomnieniach Nowakowskiego i Estreichera o Krakowie, Terleckiego i Górki o Lwowie, Leitgebera o Poznaniu. Ale to są okruszki, raczej marginalia, istotne nurty główne polskiego życia politycznego i społecznego nie ujawniają się na kartach książki. Czyżby rzeczywiście nasza literatura żyła tak dalece poza obrębem rzeczywistości polityczno—społecznej narodu?

Te braki i dysproporcje są, według mego przekonania, winą redaktorów książki. Oni są odpowiedzialni za jednostronność doboru autorów, za zupełny brak sprowadzenia książki do jakiegoś wspólnego mianownika—niektóre wspomnienia są studiami czy szkicami rozległymi, inne zupełnymi kilkustronicowymi blachostkami (Kuncewiczowa, Mackiewicz, Romer).

Książka nie odzwierciedla „*Kraju lat dziejnicnych*“ nietylko polskiej literatury, ale nawet tych pisarzy, którzy się znaleźli na emigracji. Jak ktoś słusznie powiedział: „można ją przeczytać, ale nie trzeba koniecznie“.

A szkoda, gdyż mogła to być książka przy innym skomponowaniu poważnie i trwale wzbogacająca naszą ubogą twórczość emigracyjną.

Z MIESIĘCZNIKÓW LONDYŃSKICH

Dyskusja o świecie powojennym, o sposobach i środkach uniknięcia potwornego zjawiska wojny, dyskusja, która toczy się na łamach prasy brytyjskiej i wydała już cały szereg książek znajduje oczywiście swe echo i w miesięcznikach. Jednakowoż, jest zasadnicza różnica między charakterem tej dyskusji na łamach prasy codziennej i tygodniowej, a na łamach miesięczników. Pisma codzienne i tygodniowe mają swą określoną politykę. Artykuły, które się w nich ukazują zazwyczaj są właśnie wyrazem tej polityki. Dla opinii z zewnątrz znajduje się miejsce, ale wyłącznie prawie w kolumnie korespondencji czytelników.

Miesięczniki natomiast (z dwoma wyjątkami, o których będę mówił niżej) są z zasady eklektyczne. Często w tym samym numerze zdanie jednego ze współpracowników—zazwyczaj dorywczych—kłóci się ze zdaniem innego współpracownika. Niepodobna więc mówić prawie nigdy o polityce ani o jakiejś sprecyzowanej koncepcji danego miesięcznika. I dlatego przegląd obecny, nie mający zresztą żadnej pretensji do zupełności, z natury rzeczy nie będzie mógł dać konstruktywnego obrazu odłamów opinii brytyjskiej.

Mówiłem wyżej, że dwa miesięczniki mają wyraźną i konsekwentnie przeprowadzoną linię polityczną. Od nich też zacznę mój przegląd.

Pierwszym z nich jest National Review —organ die—hardów. Dla redakcji National Review problem organizacji świata powojennego w celu uniknięcia przyszłych wojen, problem organizacji bezpieczeństwa zbiorowego wogóle nie istnieje. W ich przekonaniu wojna została wywołana właśnie przez fakt istnienia Ligi Narodów, przez to że się czyniło próbę stworzenia organizacji bezpieczeństwa zbiorowego. National Review (maj 1942) żąda, żeby Wielka Brytania przestała płacić swą składkę do Ligi Narodów, uważa, że za wypowieszenie wojny przez Japonię odpowiedzialny jest Eden, który „był filarem Towarzystwa Przyjaciół Ligi Narodów i wierzył w politykę kłócenia się za każdą cenę z Włochami i Japonią“ (styczeń 1942).

Dla National Review sprawa organizacji powojennej przedstawia się nader prosto. Należy wzmocnić Imperjum Brytyjskie i nie bawiąc się „w warjactwa międzynarodowe, które w prostej drodze doprowa-

dziły do wojny obecnej“ narzucić światu pax britannica.

Dodajmy dla zupełności obrazu, że National Review jest niechętna Stanom Zjednoczonym i że gwałtownie zwalcza Churchilla.

Bardzo bliskim poglądom wypowiedzianym przez National Review jest Sir Ernest Benn (Contemporary Review, lipiec 1942). Sir Ernest Benn listami swymi do Times i do Daily Telegraph, drwiącymi z planowania i żądającymi powrotu do „normalnej“ gospodarki kapitalistycznej po wojnie, rozpętał był w prasie codziennej olbrzymią dyskusję. W Contemporary Review zajął się sprawą organizacji świata powojennego. Na wstępie oświadcza, że wszelkie projekty jakiegokolwiek organizacji nadpaństwowej, któraby się zajmowała planowaniem, że wszelkie plany ograniczenia suwerenności państw i ustalenia jako zasady równości między ludźmi i równości między narodami uważa za absurd. W jego pojęciu Wielka Brytania winna po wojnie dbać jedynie o to, by standard życia w *Wielkiej Brytanii* się nie obniżył, by nadal mogła eksportować tyle, by nabywać potrzebne produkty spożywcze.

Na to trzeba by Wielka Brytania przewodziła światu, co zresztą jest rzeczą normalną, albowiem „Leadership świata nie jest naszym przez przypadek; pochodzi on z prostego faktu, że przez tysiąc lat blisko mieliśmy rządy tak ustaibilizowane, jak żaden inny naród“.

Drugim miesięcznikiem, który ma wyraźną politykę jest Nineteenth Century And After. Tylko, podczas kiedy National Review jest organem pewnej grupy die-hard, torysów i imperjalistów, Nineteenth Century jest organem jednego człowieka—Voigta.

Wiadomo, że Voigt jest jednym wybitniejszych dziennikarzy, wiadomo też, że jest on szczerym przyjacielem Polski, i że jako długoletni korespondent Manchester Guardian w Berlinie, rozumie daleko głębiej cały szereg zagadnień kontynentu Europy, aniżeli wielu z tych pisarzy brytyjskich, co uczenie o przysz-

łości Europy rozprawiają. W sprawie stanowiska Polski w przyszłej Europie, w sprawie niepodległości państw bałtyckich Voigt zajmował stanowiska nieskończenie bardziej realistyczne od doktrynerskich ujęć różnych Gollanczów. I niepodobna Voigta stawiać w jednym rzędzie z National Review.

Są jednak pewne punkty styczne. Voigt jest, i przyznaje się do tego, imperjalistą. Píše on: (kwiecień 1942) „Cóż brytyjski imperjalizm oznacza dzisiaj, jeżeli nie determinacje poświęcenia wszystkiego. byleby Anglia i Imperjum trwały. Imperjalizm stał się obowiązkiem tak świętym, jak każdy z obowiązków ludzkich“.

Voigt także uważa, że polityka bezpieczeństwa zbiorowego była karygodna.

Voigt jest absolutnym przeciwnikiem wszelkich planów federacyjnych. Zwolennicy federacji są dla niego obskurantystami. Cały swój wstępny artykuł w numerze lipcowym poświęcił walce z nimi. Nie wierzy nawet w możliwość federacji polsko—czeskiej (czerwiec 1942). W jego przekonaniu rozwiązaniem przyszłości jest system przymierz angielskich—w pierwszej linii z Francją—niepodległość państw Środkowej Europy, nie wyłączać Bałtów no, i bezwzględne obezwładnienie Niemiec. Przestrzega przed ustępstwami, któreby się robiło Rosji czy Ameryce. Interes imperjalny Wielkiej Brytanii winien być jej gwiazdą przewodnią.

Logicznym wynikiem tego rozumowania jest zupełna obojętność, czy rządy państw sprzymierzonych z Wielką Brytanią będą demokratyczne, czy też totalitarne. Tak, że Voigt nawet nie wyklucza możliwości porozumienia się z Petainem!

Credo Voigta najlepiej wyrażają pierwsze zdania artykułu lutowego: „Wojna jest konfliktem narodów, a nie idei. Jeżeli trzeba zrobić wybór między narodem a ideą, to należy poświęcić ideę“.

Jeżeli teraz przejdziemy do tych artykułów, które akceptują konieczność organizacji świata, ograni-

czającej suwerenności narodowe, to zobaczymy, że o jakiejś wspólnej doktrynie mówić niepodobna. Jest consensus ogólny, że powrót do status quo, powrót do świata przedwojennego jest niemożliwy, gdy oznaczałby nową wojnę w krótkim czasie. Co do tego jednak jaką ma być ta organizacja nie ma zgody. Sir George Young (Contemporary Review marzec 1942) podaje jako formułę: Liga Narodów sfederowanych. W jego pojęciu jednak federacja winna obejmować conajmniej Europę jako całość. I dlatego np. uważa on konfederację polsko—czechosłowacką jedynie jako „wskreszenie przeszłości w celu odrodzenia irredent nazawsze straconych i reżimów, których nikt nie żałuje”. Francuz, Denis Saurat (World Review, maj 1942) również uważa federację ogólnoeuropejską za cel ostateczny. Uważa on jednak, że musi istnieć epoka przejściowa, obejmująca conajmniej jedną generację podczas której cała Europa winna być pod protektorem brytyjskim, który nauczy „wszystkie narody Europy, szczególnie niektóre elementy w Niemczech, a nawet nietylko w Niemczech, że dla przyszłej cywilizacji ludzkości należy stworzyć w duszach ludzkich wspólną podstawę”.

W lipcowym zaś numerze tegoż pisma Anglik, Dennis Routh, również wierzący w konieczność brytyjskiego leadershipu—*w przeciwstawieniu do panowania niemieckiego* podkreśla, że podstawą federacyjną Europy winien być plan ekonomiczny ogólnoeuropejski, oparty na deklaracji ekonomicznych praw człowieka.

Wicehrabia Samuel, jeden z przywódców angielskiej partii liberalnej w numerze styczniowym Contemporary Review tak formułuje swe nadzieje: „Może być, że po wojnie powstanie Konfederacja mocarstw nieagresywnych, które pozostaną uzbrojone dla gwarantowania pokoju; albo może kilka konfederacji regionalnych, połączonych między

sobą. To by nie przeszkadzało utworzeniu na nowo Ligi Narodów, do której wszystkie państwa mogłyby być przyjęte. Taka Liga zajmowałaby się sprawami ekonomicznymi, kulturalnymi i sądowymi; pozostawiając wielkie zagadnienia polityczne negocjacom bezpośrednim między skonfederowanymi mocarstwami a pozostałymi państwami—może za pośrednictwem Konferencji Ambasadorów”.

W sierpniowym jednak numerze tego pisma ten sam Lord Samuel, pisząc o stosunkach brytyjsko—sowieckich i stwierdzając, że na konferencji pokojowej powstaną poważne kwestje w związku z „trzema państwami bałtyckimi, granicami Polski, zagadnieniami bałkańskimi i bezpieczeństwem Turcji, pisze że“ Rosja ma prawo żądać wszelkich gwarancji własnego bezpieczeństwa. Pełne poparcie brytyjskiego sojusznika w tych sprawach jest zapewnione”.

Lord Davies (Contemporary Review, kwiecień 1942) żąda federacji europejskiej, federacji angloamerykańskiej i federacji rosyjskiej. Zdaje sprawę z tego, że obecnie trudno jest mówić o włączeniu Niemiec do federacji europejskiej.

Federację europejską proponuje również w sierpniowym numerze Contemporary Review W. M. Wilson. Wzorem dla niego jest Konfederacja szwajcarska. Oryginalną cechą projektu wilsonowskiego jest, iż uważa on że w tej sfederowanej Europie rządy autorytatywne (ale nie totalitarne) będą mogły istnieć obok rządów demokratycznych.

W lipcowym numerze Contemporary Review doszedł do głosu Belg, sekretarz generalny belgijskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, van Langenhove. Nie daje on żadnego planu. Wynika jednak jasno z jego artykułu, że uważa za konieczną organizację, opartą na poszanowaniu niepodległości państw mniejszych i na ścisłym współdziałaniu aliantów.

cep.

SPIS RZECZY

	Str.
TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI	
<i>Stare i nowe drogi wiedzy o Mickiewiczu</i>	457-467
ANTONI SŁONIMSKI	
<i>Ten jest z ojczyzny mojej</i>	467
JULJAN TUWIM	
<i>Kwiaty polskie (dwa fragmenty)</i>	468-470
JÓZEF WITTLIN	
<i>Epilog</i>	470-473
ADAM CIOLKOSZ	
<i>Europa środkowa i południowo-wschodnia a klanżula</i> <i>5-ta Karty Atlantyckiej</i>	474-482
JERZY GRAHIT	
<i>Guglielmo Ferrero</i>	482-487
MARJA PAWLIKOWSKA	
<i>Szkicownik wojenny</i>	488
JÓZEF ŁOBODOWSKI	
<i>Konie na wojnie (fragment poetycki)</i>	489-493
EUGENJUSZ CĘKAŁSKI	
<i>My z Garlanda</i>	494-498
BOHDAN NAGÓRSKI	
<i>City of Benares</i>	498-513
STEFANJA ZAHORSKA	
<i>Pierwszy dzień (fragment powieści)</i>	513-522
MARJA KUNCEWICZOWA	
<i>Tadeusz Pruszkowski</i>	523-524
KAROL ESTREICHER	
<i>Wojciech Kossak</i>	524-529
ADAM ORDEGA	
<i>Kraj lat dziecińczych</i>	530-534
(cep.)— <i>Z miesięczników londyńskich</i>	534-536

3/-